Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

PAX · GEMMA CIVITATIS

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

ROK X. Warszawa, 28 lutego 1954 r. Nr (431) 9

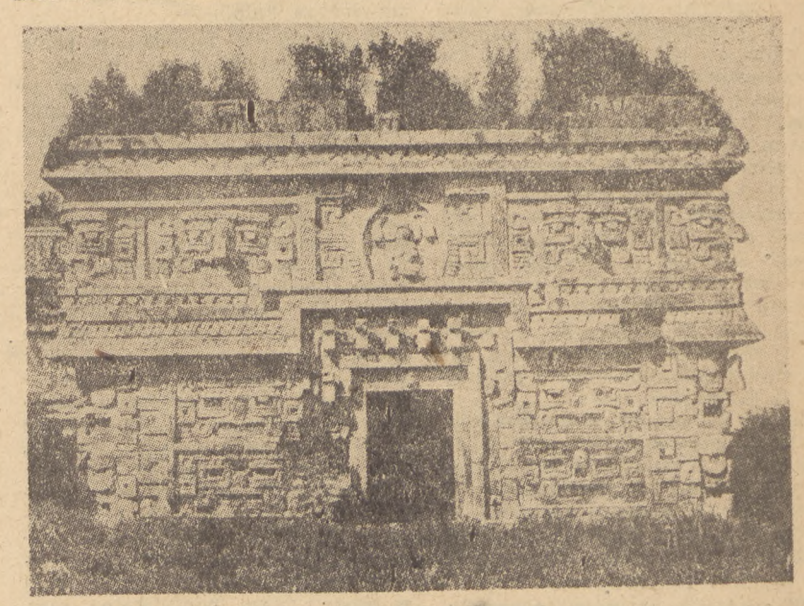

Fragment fasady świątyni Mayów (1000—1200 po narodzeniu Chrystusa)

KS. MIECZYSŁAW ŻYWCZYŃSKI

KOŚCIÓŁ A POCZĄTKI KOLONIZACJI HISZPAŃSKIEJ

Od wieku XV, dzięki wielkim odkryciom geograficznym, Europejczycy stają się stopniowo panami większej niemal części globu ziemskiego. Zagarnianie przez nich pod różnymi tytułami ziem zamieszkałych przez ludzi o innym kolorze skóry, czyli tzw. kolorowej, trwa właściwie aż do drugiej wojny światowej. I oto obecnie jesteśmy świadkami procesu niejako odwrotnego, a mianowicie wycofywania się Europejczyków z kolonii. Nie

Okręt portugalski — ceramika z pierwszej połowy XV w.

jest ono wcale dobrowolne, ale mimo to dokonuje się w sposób nieodwracalny. Ludy kolonialne mają dość panowania obcego, chcą się rządzić same. I to nie tylko w imię zasady samostanowienia narodów o swym losie, ale i w imię zwykłej sprawiedliwości; mają dość wyzysku i krzywdy. W dyskusji nad bilansem rządów Europejczyków w koloniach porusza się i sprawę Kościoła, sprawę chrześcijaństwa, bo wraz z białymi i ono przyszło do ludów „kolorowych". Warto zatem słów kilka poświęcić początkowym dziejom Kościoła w koloniach, a przede wszystkim — ustosunkowaniu się ludzi Kościoła i katolików w ogóle do wielkich poczynań kolonialnych.

Zjawisko kolonizacji, to jest zdobywanie przez jakiś naród obcych krajów i osadzanie w nim części swej ludności, było znane już w czasach starożytnych. To zdobywanie mogło się dokonywać wskutek przemocy, czasem jednak było następstwem stopniowej, mniej lub więcej pokojowej penetracji. W różnych formach zakładali kolonie Fenicjanie, Grecy i Rzymianie. To samo robili krzyżowcy od końca XI wieku w Palestynie, poza tym — Wenecjanie i Genueńczycy, pod koniec średniowiecza — Portugalczycy.

Nowa faza w dziejach ruchu kolonizacyjnego zaczęła się jednak dopiero od odkrycia Ameryki w roku 1492. Fakt ten musiał prędzej lub później nastąpić z paru powodów. W wieku XV — wskutek rozwoju handlu i miast — wzrosło znaczenie pieniądza, na złoto było ogromne zapotrzebowanie. Poza tym Turcy prawie uniemożliwili miastom śródziemnomorskim handel z dalekim Wschodem, przede wszystkim — jak mówiono — z Indiami; zaczęto zatem energicznie się starać o wynalezienie nowej do Indii drogi handlowej, która by posiadłości tureckie obeszła morzem od południa. Robili to Portugalczycy. Powodem, który musiał zadecydować o nieuniknionym odkryciu Ameryki były nowsze badania naukowe, które dowodziły kulistości ziemi. Twierdzili to już co prawda (za geografem greckim Ptolomeuszem) Arabowie i ich poglądy przenikały do świata chrześcijańskiego, z początku jednak nie znajdowały tu uznania. Dopiero w czasach Renesansu w związku z rozbudzeniem w wyższym stopniu samodzielności myślenia i krytycyzmu w stosunku do średniowiecznej tradycji, poglądy te zaczęły znajdować większe uznanie. Wynikało z nich, że jadąc z Europy na zachód dotrze się prędzej czy później do wybrzeży Chin i Indii bez potrzeby spotkania się z Turkami. W tym sensie „prawdziwym sprawcą duchowym odkrycia Ameryki" byłby lekarz i geograf Paweł del Pozzo Toscanelli (zm. 1482).

W średniowieczu panowało ogólne przekonanie, że chrześcijanie mają prawo do zajmowania odkrytych przez siebie krajów zamieszkałych przez pogan i niewiernych. Kraj taki, raz zajęty przez jakiś naród chrześcijański, stawał się jego bezsporną własnością. Nikt oprócz Francji nie kwestionował zatem Portugalczykom i Hiszpanom prawnego tytułu ich zdobyczy w Afryce i Ameryce. Gdy król angielski, Henryk VII, wysyłał do Ameryki ekspedycję, to polecał jej zajmować te kraje „pogan i niewiernych", „które wszystkim chrześcijanom do tego czasu były nieznane", a więc kraje, które nie były jeszcze zajęte przez Hiszpanów. Nawet protestancka królowa angielska, Elżbieta, nie kwestionowała praw Hiszpanii w Ameryce. Jest rzeczą znamienną, że ten tytuł prawny utrzyma się w nieco zmienionej formie i później, gdy państwa kapitalistyczne i imperialistyczne nie będą już dbały o to, kto jaką wiarę wyznaje. W nowożytnym prawie międzynarodowym utrzymano okupację jako tytuł prawny posiadania krajów zamieszkałych przez ludność nie mającą własnego państwa, tj. niecywilizowaną. Do ważności tego prawa wystarczyło tylko faktyczne zajęcie danego obszaru i powiadomienie o tym innych państw. Co innego była, oczywiście, okupacja wojskowa podczas wojny. Ale obok tego tytułu prawnego, wynikającego z faktu okupacji, w średniowieczu istniał jeszcze jeden tytuł do zajmowania krajów „pogan i niewiernych", tytuł niemniej pewny i wyraźny, a mianowicie — darowizna ze strony papieża. Aż do XIV w. w Europie zachodniej była dość powszechna teoria, że papież ma prawo rozdawać państwa i korony chrześcijańskie, gdy tego wymaga dobro ogólne, dobro ogółu chrześcijan. Gdy zatem jakiś władca postępował „niemoralnie", to sądzono, że papież może mu władzę odebrać. To przekonanie miało za sobą dawną, sięgającą czasów Grzegorza VII tradycję. Wyrażało się ono między innymi w przyjmowaniu pod specjalną opiekę papieża monarchów europejskich, a opierało się na dogmacie, że papież jest zastępcą Chrystusa na ziemi. Dogmat interpretowano w ten sposób, że skoro Chrystus jest władcą całego świata zarówno pod względem duchowym jak i doczesnym, to jest nim także na ziemi i jego ziemski zastępca. Pewien wpływ na kształtowanie tego poglądu wywarła i średniowieczna legenda o darowaniu papieżowi przez cesarza Konstantyna (na początku IV w.) władzy nad całym Zachodem. Już papież Innocenty III głosił, że *„jak księżyc bierze swe światło od słońca... tak władza królewska świetność swej godności bierze od władzy papieskiej"*. Papież Bonifacy VIII w bulli *Unam Sanctam* z 1302 r. twierdził, że władza duchowna może ustanawiać władzę świecką i sądzić ją, jeśli ta nie jest dobra, a władzy papieża musi podlegać każdy człowiek.

Ta teokratyczna teoria nigdy nie była całkowicie uznawana, zwłaszcza przez cesarzy. Pod koniec XI i na początku XII w. toczy się na ten temat żywa dyskusja między zwolennikami papieża i cesarza. W XIV w. odżywa ona na nowo. Jednym z najwybitniejszych wyrazów tej dyskusji był słynny traktat antypapieski pod tytułem *Defensor pacis*, zredagowany w 1324 r. przez dwóch profesorów: Marsiliusa z Padwy i Jana de Jandun. *Defensor* dowodził, że istnieje tylko jedna suwerenność tj. suwerenność ludu. Lud cały albo przynajmniej jego lepsza część *valentior* jest władzą prawodawczą, ale władzę tę sprawuje przez swego delegata, tj. monarchę. Władzę kapłańską uzależniał od państwowej, całą teorię teokratyczną uważał za nadużycie. Ale poglądy te, dość rozpowszechnione w Europie środkowej, znalazły jak najmniej uznania na Półwyspie Iberyjskim. Papieże ustawicznie pomagali tu monarchom w ich walce z muzułmanami, zatargi tych monarchów z papieżem były bardzo rzadkie i autorytet papiestwa w tych krajach był bardzo silny, a powoływanie się nań w sprawach doczesnych — bardzo wygodne. I Portugalia, i Kastylia, i Aragonia chętnie starały się o potwierdzenia papieskie, by mogły się prawnie nawzajem przed sobą zabezpieczyć.

W związku z teorią o najwyższej władzy świeckiej papieża *(potestas directa)* pozostawał też pogląd, że papież za niezgodne z moralnością postępowanie może karać władców i narody także i środkami doczesnymi, nawet tak surowymi jak pozbawianie ich wolności i obracanie w niewolę ich samych oraz ich poddanych. Papież Grzegorz XI w bulli z 1376 r. pozwolił sprzymierzonym ze sobą książętom i miastom włoskim zabierać majętności florentczyków a ich samych chwytać i obracać w niewolników. Analogiczne rozporządzenie wydał papież Sykstus IV w stosunku do wenecjan w roku 1483. Rozporządzenia te jednak w każdym wypadku obowiązywały tak długo, dopóki zagrożeni karą nie zmienią swego postępowania.

Przekonanie o władzy doczesnej papieża znalazło jeszcze silniejszy wyraz w stosunku do krajów zamieszkałych przez pogan i niewiernych. Już w roku 1436 król portugalski prosił papieża Eugeniusza IV o pozwolenie na zdobycie tych Wysp Kanaryjskich, które były zamieszkałe przez pogan. Ponieważ — jak pisał — „ziemia i to, co na niej jest, należą do Boga, który dał Świątobliwości Waszej pełną władzę nad całym światem, przeto — co za powagą i pozwoleniem Waszej Świątobliwości będzie posiadane, to będzie posiadane także za specjalnym rozkazem i pozwoleniem Wszechmocnego Boga". W odpowiedzi swej Eugeniusz IV uroczyście dał mu prawo zdobycia tych wysp, a — gdy je podbije i nawróci — miały one należeć do niego *(tibi concedimus in conquestam)* i jego następców na wieki. Warto zwrócić uwagę na zastrzeżenie bulli papieskiej dotyczące tych wysp, na których już byli chrześcijanie. Portugalczycy nie mieli prawa ich podbijać nie tylko dlatego, że rościła sobie do nich pretensje Kastylia, a papież nie chciał ich praw przesądzać, ale i dlatego, że były już chrześcijańskie, a te ostatnie wolno było zajmować tylko wówczas, gdyby ich mieszkańcy znaleźli się w ekskomunice. Można zatem było zagarniać zbrojnie tylko ziemie pogan i niewiernych. Hiszpańscy „conquistadorzy" w Ameryce starannie podkreślali, że ziemie przez nich opanowywane są pogańskie, a zatem naród chrześcijański ma prawo je podbić, by ich mieszkańców nawrócić. Chęć grabieży maskowano chęcią szerzenia wiary, obydwa motywy stawiano na tym samym niemal poziomie. Występuje to już u Kolumba, który zapewniał, że celem jego przedsięwzięcia jest rozszerzanie i chwała religii chrześcijańskiej, ale zaraz w pierwszej relacji z Ameryki pisał nie tylko o tym, że odkrył dobrych ludzi, którzy mają subtelny rozum i wcale nie są niewierzący, a zatem łatwo się nawrócą na wiarę chrześcijańską; pisał także, że można tu mieć złota i srebra ile się chce, jak również i niewolników. Król i królowa — jego zdaniem — mieli się cieszyć z nawrócenia tych ludzi i z bogactw, które z tych krajów do Hiszpanii popłyną. Ale w swym przekonaniu odkrywca Ameryki nie popełniał niekonsekwencji szukając nie tylko ludzi, by ich nawrócić, ale i złota, bo to ostatnie — jak twierdził — miało być obrócone na wyprawę krzyżową w celu odzyskania Jerozolimy. Mniejsza o to, czy Kolumb wierzył naprawdę, że chwytanie niewolników i zagarnianie złota może ułatwić odzyskanie Jerozolimy, bo jego rozumowanie nie było wcale wyjątkowe. Słynny awanturnik, zdobywca Meksyku, Hernando Cortez pisał w r. 1525 zupełnie analogicznie o swej wyprawie, że jej głównym celem jest zaszczepienie mieszkańcom tego kraju wiary w Boga i religii katolickiej, *„bo gdyby ta wojna była prowadzona z inną intencją, byłaby niesprawiedliwa, a to, co byśmy podczas niej zyskali, byłoby szkodliwe i bylibyśmy obowiązani to zwrócić"*.

W przekonaniu „odkrywców" zajmowanie przez nich dalekich krajów było rzeczą całkowicie słuszną jako szerzenie wiary, usprawiedliwione też było branie pogan w niewolę. Takie było przeświadczenie ogólne i nawet dla papieża byłoby niebezpieczne mieć na ten temat zdanie odmienne. Istniał przecież wśród poważnego odłamu teologów pogląd, że papież nie myli się, gdy zabiera głos w imieniu całego Kościoła, ale osobiście może się stać heretykiem. W imię tego poglądu Savonarola przeciwstawił się papieżowi Aleksandrowi VI. Sam Kolumb uważał, że bogactwa z odkrytych przez niego ziem winno się dać papieżowi na wyprawę krzyżową, ale zastrzegał, że nie należałoby tego robić, gdyby papież stał się heretykiem.

Kościół nie głosił zasady, że niewiernym wolno zabierać ich ziemię. Wybitny prawnik z XIII w., Sinibald Fiesco, późniejszy papież Innocenty IV, pisał, że Bóg dał prawo posiadania i władzy nie tylko wiernym, ale wszystkim ludziom *„i dlatego nie wolno ani papieżowi, ani wiernym zabierać posiadłości czy władzy* (jurisdictiones) *niewiernym"*. Istniała wprawdzie i teoria odmienna, której najwybitniejszym bodaj przedstawicielem był Henryk de Segusio, znany jako kardynał Hostiensis (zm. 1271 r.), lecz samo istnienie tych dwóch poglądów świadczy, że Kościół jako taki nie aprobował oficjalnie tego, co głosili conquistadorzy. Ale w XV w., w okresie ruchu soborowego, grożącego samym podstawom ustroju Kościoła, papieże są w trudnej sytuacji. Chcąc zyskać poparcie władców europejskich ulegają im często nadmiernie. Poza tym papieże końca XV w. i początku XVI, to ludzie Renesansu, często więcej zajęci polityką i sprawami kultury świeckiej niż obroną prawd wiary i moralności. Gdy się doda i to, co powiedziano o ówczesnej teorii na temat możliwości stania się papieża heretykiem, to nic dziwnego, że papieże ci nie przeciwstawiali się przekonaniu „odkrywców". Bulle papieskie dla Portugalczyków i Hiszpanów w XV w. nie były więc wyrazem nauki Kościoła, bo ta była odmienna, ale wyrazem polityki, która miała uzasadnienie tylko w jednej z ówczesnych teorii teologicznych, nieznanej starożytnemu Kościołowi i zdecydowanie odrzuconej przez Kościół w czasach nowożytnych. Tylko w świetle tego, co powiedziano wyżej, stają się zrozumiałe bulle papieskie dla conquistadorów. A zatem papież Mikołaj V bullą *Divino amore* z 18 czerwca 1452 r. dał królowi portugalskiemu Alfonsowi V pełną władzę zajmowania ziemi, państw, miast, zamków, posiadłości i dóbr, zamieszkałych przez *„saracenów, pogan i niewiernych oraz wrogów Chrystusa"* oraz „obracania ich osób w wieczystą niewolę" *(illorumque personas in perpetuam servitutem redigendi... plenam et liberam auctoritate apostolica tenore presentium concedimus facultatem...)*. W dwa i pół roku później (8 stycznia 1455) tenże papież dawał na wieki *(prepetuo donamus, concedimus et appropriamus)* królowi portugalskiemu i jego następcom ziemie zdobyte w Afryce, jak również i te, które dopiero zdobędzie. W Bulli pisano, że z posiadłości afrykańskich *„liczni gwinejczycy i inni murzyni schwytani siłą, niektórzy także na drodze wymiany za rzeczy niezakazane* (pewnych rzeczy nie wolno było sprzedawać saracenom i poganom, jak np. statków, broni itd.) *lub na mocy innego prawnego aktu kupna zostali do wymienionych królestw* (tj. do Portugalii i Algarbii, razem tworzyły one jedno państwo) *przesłani, a tu w wielkiej liczbie zostali nawróceni na wiarę katolicką i jest nadzieja, dzięki łaskawości Bożej, że jeśli tak samo będzie się postępowało nadal, to albo te ludy nawrócą się do wiary albo przynajmniej dusze wielu z nich będą pozyskane dla Chrystusa"*. Poza tym bulla ta, zaczynająca się od słów *Romanus pontifex*, powtarzała całkowicie dyspozycję bulli *Divino amore* o prawie zajmowania przez Portugalczyków krajów saraceńskich oraz pogańskich i *„obracania ich osób w wieczystą niewolę"*. Jezuita Alois Kröss tak objaśnia słowa bulli o braniu Murzynów do niewoli: *„Z powodu stałych napadów saracenów na chrześcijan — walkę z nimi i ze wszystkimi ich sprzymierzeńcami, za których uchodzili jeszcze wówczas Murzyni z Afryki, uważano za usprawiedliwioną, a stosowanie prawa wojennego wobec tychże — w całej rozciągłości za dozwolone"*. Tenże autor dodaje, że potrafiono oszukać papieża, iż nie ma innej drogi do ucywilizowania tych dzikich niż sprzedanie ich panom chrześcijańskim; dlatego też i papież Kalikst III jeszcze raz potwierdził ten przywilej Portugalczykom. Autor gruntownej książki p. t. „Niewolnictwo w nauce moralnej chrześcijaństwa" (Lwów, 1922) ks. prof. W. Wicher sądzi, że nie da się zaprzeczyć, iż działalność papieża Mikołaja V była w sprawie niewolnictwa trochę ujemna, ale słowa bulli 1455 r. nazywa co najwyżej nieroztropnymi, *„bo kto mógł przewidzieć, co zrobi chciwość, a wyrywać Murzynów drogą zamiany z rąk okrutnych, pogańskich panów, by ich nawrócić i ucywilizować, wydawało się rzeczą dobrą"*. Obok tych wyjaśnień można by jednak wysunąć także inne, bodaj prostsze. Oto Ko-

(Dokończenie na str. 3)

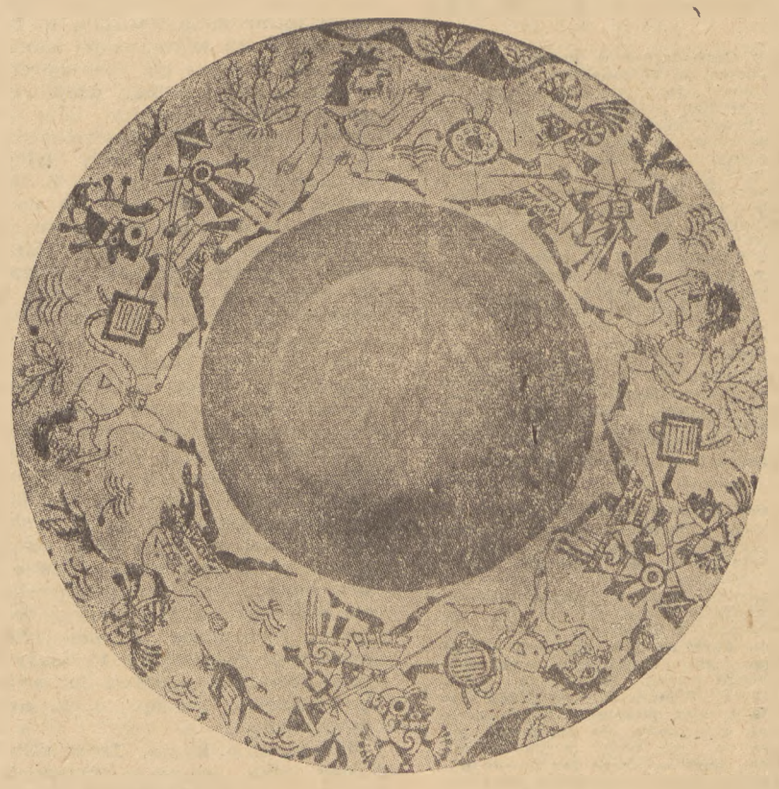

Stary talerz przedstawiający wojowników peruwiańskich z jeńcami

ALEKSANDER ROGALSKI

MISTYFIKACJA

(Sytuacja katolicyzmu w Niemczech zachodnich po zwycięstwie wyborczym Adenauera)

POPARCIE ZE STRONY HIERARCHII I KLERU KATOLICKIEGO

NIKT nie zaprzeczy, że dzień 6 września 1953 r. stanowi datę przełomową w dziejach politycznych katolicyzmu niemieckiego. Ponieważ zaś od daty tej upłynęło już sporo miesięcy, można przeto podjąć próbę nakreślenia syntetycznego (choć nie wyczerpującego, z konieczności pobieżnego, bynajmniej jednak nie pozbawionego sensu) — obrazu sytuacji, w jakiej znalazły się obecnie Niemcy zachodnie w aspekcie katolickim czy w ogóle chrześcijańskim. Pozwalają na to dość obfite i różnorodne materiały informacyjne.

Oczywiście, zadanie, które stoi przed nami, jest bardzo skomplikowane. Możemy tu poruszyć tylko niektóre problemy, zająć się tylko niektórymi zjawiskami, cytować tylko niektóre fakty. W wyborze tych elementów kierować się będziemy zainteresowaniami polskiej opinii katolickiej,

Sądzę, że jednym z przedmiotów tych zainteresowań jest kwestia: w jakiej mierze do zwycięstwa wyborczego Adenauera przyczyniła się hierarchia Kościoła katolickiego w Niemczech, kler katolicki i świeccy katolicy, Spróbujmy odpowiedzieć na to pytanie.

W niedzielę, w którą odbywały się wybory, w wielu okolicach Republiki Federalnej szły parafie katolickie do urny wyborczej bezpośrednio po nabożeństwie. Teksty kazań na tę niedzielę dostarczone zostały księżom przez rozmaite związki i organizacje katolickie. W wielu miejscowościach Niemiec zachodnich rozdawano w kościołach na krótko przed lub zaraz po nabożeństwie, odezwy zarówno biskupów jak i partii adenauerowskiej. Staraniem wielu katolickich związków, np. Związku Kolpinga (Kolping Verein), Katolickiego Ruchu Robotniczego, Katolickiego Związku Mężczyzn, Katolickiego Związku Kobiet, Związku Niemieckiej Młodzieży Katolickiej itd. — przeprowadzono wytężoną propagandę za Adenauerem i to pod hasłem: *„Kto nie wybiera Adenauera, kto nie wybiera zachodniej CDU, ten jest złym katolikiem"!*

Nawet nie odznaczający się nadmiarem odwagi w głoszeniu swych szczerych przekonań znany publicysta katolicki, Walter Birks, we wrześniowym numerze „Frankfurter Hefte" z r. ub. zdobył się na protest przeciwko temu, by katolików popierających np. Ogólno-niemiecką Partię Ludową, takich polityków katolickich, jak Elfes, dr Wirth i Helena Wessel, przestano uważać za katolików.

W niejednym wypadku w parze z nadużyciem wiary szły nadużycia wyborcze. Tak np. stwierdzono, że w wielu północno-badeńskich gminach upoważnieni przez katolickie urzędy parafialne ludzie przebywali w przedsionkach a nawet w samych lokalach wyborczych z listami, na których rejestrowali wyborców i meldowali o tym proboszczowi. Poza tym proboszczowie nawoływali podczas rannego nabożeństwa do wybierania kandydatów chrześcijańskich partyj. W gminie Forst rozdawano ulotki CDU przy wyjściu z kościoła. W czasie zaś samego nabożeństwa proboszcz objaśniał wiernych, w jakiej rubryce winni postawić swój krzyżyk. (*Union Presse Dienst*, nr 19/53).

Dodajmy wreszcie, że przed rozpoczęciem pierwszej sesji parlamentu związkowego w dniu 6 października ub. r. — ks. kardynał Frings celebrował w kościele katedralnym w Bonn mszę pontyfikalną oraz wygłosił kazanie. Przy tej okazji w prasie postępowej przypomniano owo sławne nabożeństwo z dnia 21 marca 1933 r., odprawione w kościele garnizonowym w Poczdamie, kiedy to ówczesny generalny superintendent D. D. Dibelius wygłosił mowę hołdowniczą na cześć Hitlera.

JAK MOGŁO DO TEGO DOJŚĆ?

POSTAWMY jedno twarde pytanie — jak mogli katolicy, chrześcijanie niemieccy głosować za rządem Adenauera?

Wyczerpująca odpowiedź wymagałaby conajmniej osobnego studium. Albowiem i na ten fakt złożyło się niezwykle wiele i to nieraz bardzo skomplikowanych czynników. Tu możemy wymienić tylko niektóre spośród nich.

Niezwykle zręczna taktyka wyborcza Adenauera. Uwzględniając ogólnie antywojenne nastroje mas niemieckich (co jest niewątpliwym sukcesem światowego ruchu pokoju) — politykę militarystyczną przesłaniała ona hasłami pokojowymi. A więc zjawisko mistyfikacji pokoju, które bardzo przekonywająco analizował Otto Nuschke w swym referacie wygłoszonym na posiedzeniu Głównego Zarządu CDU w Berlinie w dniu 9 października ub. roku, gdy przypominał, że w ten sam sposób prezydent Ludwik Bonaparte wysuwając hasło polityki pokojowej zdołał pozyskać masy i stać się cesarzem Napoleonem III, i że nawet Hitler osiągnął zwycięstwo w swych wyborach głównie dzięki temu, że głoszono, iż wtedy pokój będzie uratowany.

W ramach tej samej taktyki mieściło się operowanie takimi na poły emocjonalnymi, na poły mgliście intelektualnymi pojęciami, a raczej sloganami, jak „reprezentowanie interesów chrześcijaństwa", „chrześcijańska demokracja", „obrona chrześcijańskiego Zachodu". Następujące zdania z artykułu pt. „Chrześcijańska demokracja w Republice Federalnej" umieszczonego we *„Frankfurter Hefte"* (wrzesień 1953 r.) wyjaśniają to bliżej: *„Wielu zwolenników chrześcijańskiej demokracji wierzy jeszcze w „państwo chrześcijańskie", w jakiś związek państw chrześcijańskich — w „chrześcijańską Europę"; w dodatku są tu splątane i różne zasady światopoglądowe: tradycja praw przyrodzonych, wspomnienia o świętym dwupaństwie średniowiecza, konserwatywne i stanowe pojęcia oraz idee „demokracji autorytatywnej".* Ostatnie stanowisko usiłuje przezwyciężać pewne słabości formalnej demokracji, lecz jak dotąd w Niemczech ma raczej pociągnięcia kryptofaszystowskie, nacechowane sympatiami dla Salazara lub częściej — dla Franco.

Powodzenie tych sugestii nie byłoby możliwe bez dwu czynników: bez niesłychanej naiwności społeczno - politycznej ogółu katolików zachodnio - niemieckich i bez ogromnego autorytetu, jakim się cieszy u niego we wszystkich dziedzinach życia, nie tylko w religijnej, kler i hierarchia. Dodajmy, że wykształcenie i wyrobienie polityczne księży niemieckich jest przeważnie bardzo skromne, wskutek czego bezkrytycznie przyjmują oni wszystko, co im się w tej dziedzinie do wierzenia od autorytatywnych czynników podaje.

Ale nie tylko to. Kler niemiecki jest w ogóle usposobiony reakcyjnie i w duchu restauracji. Z jednej strony chodzi mu o utrzymanie, czy odbudowanie pozycji posiadanej w przeszłości i dawnego wpływu na życie polityczne, z drugiej zaś — równie ważną rolę odgrywa lęk przed nowym porządkiem społecznym, do którego kler nie jest przygotowany. Z lękiem tym łączy się przekonanie, że w zmienionym ustroju społecznym nie będzie możliwe głoszenie prawdy religijnej, że nastąpi w nim nie tylko laicyzacja społeczeństwa, lecz również dechrystianizacja człowieka. Jedną z głównych przyczyn tego stanu rzeczy jest przestarzałe wychowanie duchowieństwa.

Myślę, że trafnym komentarzem do tego smutnego zjawiska mogą być słowa znanego czeskiego teologa protestanckiego, prof. J. L. Hromadki z wywiadu udzielonego wschodnio - berlińskiemu pismu „Neue Zeit" w dniu 16 grudnia ub. roku. Brzmiały one:

„Kościoły są tak silnie związane ze starą epoką i porządkiem społecznym, że nie są w stanie odróżnić postulatów prawdziwej wiary od swych starych moralnych, społecznych i kulturalnych koncepcji. Kiedy przełamują się stare formy życia, uważają to za napaść na ich wiarę, na jej istotę. Przecież nie ma nic niebezpieczniejszego nad ten brak właściwego rozróżnienia między tym, co należy do istotnego posłannictwa wiary, a tym, co dotyczy tylko zewnętrznych form życia. Z tej przyczyny Kościoły stały się nierzadko schroniskami lęku, a nawet tchórzostwa. Te elementy, które przez wypadki dziejowe ugodzone zostały w swych nawykach i stylu życia, uciekają do Kościołów, aby przeżyć czasy burzy lub nawet uczynić z Kościołów narzędzia Restauracji. Tutaj musimy, my chrześcijanie, okazać czujność: „Czuwajcie i módlcie się!" — Jest zadziwiające, że my, chrześcijanie, zawsze za późno chwytaliśmy w ostatnich stuleciach sens epoki. Nie chciałbym tracić na to wiele słów. Chciałbym tylko jedną rzecz podnieść: Istnieje wiele Kościołów, które dopiero w tym momencie dołączyły się do liberalnej demokracji znajdując w niej swą społeczną przystań. I to kiedy? Gdy liberalizm przeżywa już swą przedśmiertną walkę i rodzi się nowa epoka".

Mówiliśmy o klerze. Teraz słów choćby kilka jeszcze o świeckich katolikach czy protestantach.

Ponieważ większość świeckich ma fałszywe pojęcie o kościelnym autorytecie, nie umieją oni rozpoznać faktów przekroczenia przez kler jego kompetencji. Toteż głosują po „chrześcijańsku", tzn. na CDU, sądząc, że to jest ich obowiązkiem. W rezultacie — wielka część katolików, czy w ogóle chrześcijan nie zdaje sobie sprawy z tego, że musi powziąć samodzielną decyzję. Głosują oni na CDU bynajmniej nie dlatego, że doszli do przekonania, iż polityka CDU jest polityką słuszną, lecz dlatego, ponieważ sądzą, że muszą głosować na CDU. Sprawia to, że innych możliwości politycznych już oni nie badają. Ideologia, poglądy, opinie ustalają się ponad rozumem i sferą poznania. Wytwarza to w kapłanach i w świeckich osobliwe samozadowolenie z samych siebie i ze słuszności własnego sądu: objawia się ono bardziej arogancko im mniej własne poglądy są przemyślane, im bardziej są infantylne.

PERSPEKTYWY DLA KATOLICYZMU

OTO niektóre z czynników i okoliczności, które doprowadziły do zwycięstwa Adenauera i jego partii, które na odcinku zachodnio - niemieckim umożliwiły powodzenie rozwijanej na ogromną skalę w krajach zachodnich, włącznie ze Stanami Zjednoczonymi, akcji nadużywania motywów religijnych dla sprzecznych z nimi celów politycznych. Gdyby chodziło tylko o moralny, ideologiczny związek Bonn — Rzym — katolik nie miałby nic temu do zarzucenia. Idzie jednak o to, że, jak pisała *Union-Presse-Dienst* (nr. 19/53) — *„święty ideologiczny związek Bonn — Rzym skoordynowany jest z nieświętym związkiem politycznym Bonn — Waszyngton".* Właśnie ta koordynacja jest ową równią pochyłą, po której istota wiary katolickiej stacza się w dziedzinę nadużywania chrześcijaństwa. Oddawszy swe głosy za Adenauerem masy wierzących chrześcijan niemieckich umożliwiły kontynuację polityki, która pcha nie tylko do trzeciej wojny, ale również do poważnego kryzysu wewnątrz Kościoła w Niemczech.

Zwycięstwo wyborcze Adenauera zarysowuje przed katolicyzmem niemieckim perspektywy dość posępne. Na szczęście, sytuacja nie jest pozbawiona pewnych elementów dodatnich.

Przede wszystkim w samej CDU istnieją żywioły opozycyjne, choć słabe i lękliwe, którym każdy niemal dzień przynieść musi nowe rozczarowanie a tym samym pogłębiać świadomość niebezpieczeństwa.

Dalej — nie brak nawet wybitnych teologów, którzy zdają sobie z tego sprawę, jak mało chrześcijańska, jak fałszywa jest ta polityczna teologia, która popiera politykę CDU i doznaje od CDU poparcia. Należy do nich ks. dziekan Josef Emonds z Kirchheim pod Kolonią, ks. Robert Grosche, dziekan miejski z Kolonii, jak również najbardziej chyba znany katolicki teolog niemiecki — Romano Guardini, który w swej nowej książce *„Das Ende der Neuzeit"* („Koniec epoki nowożytnej") doszedł do stwierdzeń wysoce postępowych. Nie można również pominąć wpływu dwóch wybitnych publicystów niemieckich, działających na obszarach objętych mową niemiecką, choć dzisiaj są już obywatelami szwajcarskimi, mianowicie księży: Mario von Galli i Hansa Ursa von Balthasara, którzy zdecydowanie przeciwstawiają się polityce rządu w Bonn.

Oczywiście, kroczy też wielu katolików świeckich niezależnymi politycznymi drogami, choć nie utworzyli oni określonych grup katolickich. Opozycyjne elementy istnieją w katolickiej *„Junge Mannschaft"* (Wspólnota Młodych) wydającej w Aschaffenburgu interesujące pismo: *„Werkhefte fuer christliche Laienarbeit"* (Zeszyty dzieła współpracy świeckich).

Nie można w końcu pominąć oddziaływania na chrześcijan zachodnio - niemieckich (zwłaszcza zaś na członków CDU-CSU) wschodnio - niemieckiej CDU, która świadoma tego, że adenauerowska Unia Chrześcijańsko Demokratyczna jest najbardziej agresywną i najbardziej wrogą pokojowi partią w Niemczech zachodnich, że pod osłoną haseł chrześcijańskich dokonuje się tam nieustannie nadużycia chrześcijaństwa — nie ustaje w swych wysiłkach, by coraz szerszym kręgom członków tego stronnictwa otwierać oczy na istotne zło i wciągać ich do współpracy oraz mobilizować do wspólnej walki przeciwko wojennym planom kierownictwa CDU zachodniej. A że działalność w tym kierunku nie jest bynajmniej pozbawiona widoków powodzenia, na to wskazują choćby następujące zdania redakcyjnego artykułu pisma katolickiego, lecz bynajmniej nie bojowego, bynajmniej nie grzeszącego postępowością, mianowicie wiele razy tu już cytowanych „Frankfurter Hefte". *Ryzykowne jest pojmowanie przez niektórych zwycięstwa Adenuera i prof. Erharda jako zwycięstwa chrześcijaństwa. Jest to błąd obiektywny, który bezspornie doprowadzi do niepowodzeń. Nie tylko mądrość polityczną, lecz również chrześcijańskie sumienie i subtelność trzeba zmobilizować przeciw temu nieporozumieniu wszędzie tam, gdzie może ono występować. Chrześcijaństwo zna inne, lepsze zwycięstwa. Dotyczy to zarówno katolicyzmu jak i protestantyzmu... Sumienie chrześcijańskie będzie musiało prowadzić walkę o uczciwe światowe państwo w warunkach utrudnionych, gdyż staje wobec usiłowań wykorzystania władzy, która znalazła się w chrześcijańskich rękach..."* (nr. 11/1953).

Notatnik gospodarczy

Plany, które służą ludziom

OSTATNIO zostały opublikowane wyniki wykonania planów gospodarczych na rok 1953 w Związku Radzieckim i w krajach demokracji ludowej. Wyniki te są dowodem nieustannego rozwoju gospodarczego i kulturalnego tych krajów, ich pokojowego budownictwa, a przede wszystkim — troski o zapewnienie ludziom pracy jak najlepszych warunków życia.

Szczególnie imponujące są w roku ubiegłym osiągnięcia Związku Radzieckiego. W porównaniu z rokiem 1952 globalna produkcja przemysłu radzieckiego wzrosła o 12 procent. Jeśli przypomnimy sobie wyniki wykonania planów w ZSRR w poprzednich latach, to uderzy nas i zastanowi fakt stałego wzrostu produkcji przemysłowej. Tak dzieje się w Związku Radzieckim od trzydziestu przeszło lat, a jedyną przeszkodą, która na pewien okres zahamowała nieustanny wzrost produkcji przemysłowej, była wojna z hitlerowskimi Niemcami w latach 1941 — 1945. Mimo wielkich zniszczeń wojennych Związek Radziecki potrafił odbudować przemysł w niezwykle szybkim tempie i dojść do takich wyników, jakie przyniósł rok 1953: 320 mil. ton wydobycia węgla kam., 38 mil. ton stali, 52 mil. ton ropy naftowej, 133 miliardy KWh energii elektrycznej, nie uwzględniając osiągnięć w produkcji maszyn, urządzeń, środków transportowych. Dla porównania warto jest przypomnieć wysokość produkcji w roku 1940, czyli w ostatnim roku przed Wojną Narodową: w roku tym wydobyto w ZSRR 166 mil. ton węgla i wyprodukowano 18,3 mil. ton stali, 31 mil. ton ropy naftowej i 50 miliardów KWh energii elektrycznej. W stosunku do roku 1940 produkcja przemysłowa najważniejszych artykułów w 1953 r. wzrosła prawie dwukrotnie, w porównaniu zaś z 1913 r., (a więc z produkcją w Rosji carskiej) dla węgla — jedenastokrotnie (1913 r. — 29 mil. ton), stali — dziesięciokrotnie (1913 r. — 4,2 mil. ton), ropy naftowej — sześciokrotnie (1913 r. — 9 milionów ton). Liczby powyższe ilustrują jedynie pewien wycinek rozwoju życia gospodarczego. Podobny wzrost produkcji notujemy i w innych gałęziach gospodarki radzieckiej. Wielką rolę przywiązuje się w ZSRR, zwłaszcza po dokonaniu odbudowy kołchozów i sowchozów, do dalszego rozwoju mechanizacji gospodarki rolnej, dzięki czemu poważnie wzrosła wydajność z hektara podstawowych upraw rolniczych. W ciągu jednego tylko roku 1953 rolnictwo radzieckie otrzymało imponującą liczbę 139 tys. traktorów (w przeliczeniu na traktory o mocy 15 KM), 41 tys. kombajnów zbożowych, przeszło 2 miliony maszyn do uprawy ziemi, 6 milionów ton nawozów sztucznych.

Sukcesy gospodarcze Związku Radzieckiego umożliwiają zarówno podejmowanie wielkich dzieł budownictwa socjalistycznego — takich, jak elektrownie wodne, tamy na rzekach, kanały, zakłady przemysłowe — jak również poświęcenie specjalnej uwagi budownictwu urządzeń kulturalnych i socjalnych, przeznaczonych dla ludzi pracy; rozszerzeniu produkcji artykułów konsumpcyjnych: poprawie warunków bytowych ludności.

Tym samym celom służą Narodowe Plany Gospodarcze w państwach demokracji ludowej. Polska Ludowa może się poszczycić wykonaniem NPG na rok 1953 w produkcji przemysłowej w 103,9 procent. Jest charakterystyczne w wykonaniu globalnej produkcji przemysłu, że wyższe przekroczenia notujemy w produkcji artykułów konsumpcyjnych (o 5,7 proc.) niż środków wytwórczości (2,5 proc.). Świadczy to o tym, że szczególna uwaga w produkcji przemysłowej została położona na produkcję środków spożycia i przyśpieszenia wzrostu stopy życiowej ludności. Wytyczne idące w tym kierunku zostały uchwalone na IX Plenum KC Partii i realizacja ich w końcowej fazie wykonywania planu w r. 1953 w dużym stopniu przyczyniła się do przekroczenia planu produkcji artykułów konsumpcyjnych. Rozpoczęto więc produkcję szeregu nowych artykułów, które są wytwarzane w ramach produkcji ubocznej w dużych zakładów przemysłowych. Poza tym — została zwrócona uwaga na jakość produkcji, na różnorodność gatunków i modeli. Niewątpliwy postęp na tym odcinku daje się już zaobserwować w bardziej urozmaiconym asortymencie towarowym sklepów; fakt ten nie przesłania konieczności prowadzenia dalszej walki z brakoróbstwem, w imię jakości produkcji.

Korzystnym objawem wykonania planu w 1953 r. jest rozszerzenie międzynarodowych stosunków gospodarczych, które obejmują już 71 państw. Podstawą wymiany towarowej są długoletnie umowy handlowe zawarte między Polską a Związkiem Radzieckim, państwami demokracji ludowej i niektórymi krajami kapitalistycznymi. Zwiększenie obrotów towarowych z krajami Europy zachodniej, Turcją, Argentyną i Brazylią świadczy o możliwościach istnienia i utrzymywania stosunków gospodarczych między państwami o różnych ustrojach społeczno-gospodarczych.

I wreszcie — bardzo ważny problem: rolnictwo. Plan produkcji rolniczej w r. 1952 nie został wykonany. Wpłynął na to szereg czynników, między innymi niesprzyjające warunki atmosferyczne. Z wyjątkiem powiem ziemniaków i buraków cukrowych, plony w r. 1953 były niższe niż w 1952. Również wzrost pogłowia bydła okazał się niższy od planu.

Sprawa zwiększenia produkcji rolniczej stanowi jeden z najtrudniejszych, ale również i najważniejszych problemów gospodarki socjalistycznej. Na tym polu zostało popełnionych wiele błędów, w PGR-ach, w POM-ach, w GOM-ach, jak i w stosunku do chłopów indywidualnych. Państwo dało ogromny wkład w podniesieniu gospodarki rolnej, dostarczając maszyn rolniczych, traktorów, nawozów sztucznych, wysokogatunkowego siewnego ziarna. Wyniki są jednak za niskie w porównaniu do tego wkładu. Uchwały IX Plenum KC Partii, jak i uchwalone tezy do II Zjazdu szeroko omawiają sprawę podniesienia produkcji rolniczej. Rolnictwo bowiem — stanowiąc bazę surowcową dla przemysłu artykułów konsumpcyjnych — poważnie wpływa na ilość tych artykułów na rynku, a więc na zaopatrzenie ludności. Dlatego więc — chcąc realizować postulat wzrostu dobrobytu mas pracujących — należy przede wszystkim rozwinąć produkcję rolniczą i hodowlaną. Rząd i Partia zwracają z tego powodu wielką uwagę na to zagadnienie.

Do szybkiego zwycięstwa w walce o zwiększenie produkcji rolniczej muszą się włączyć wszyscy zainteresowani obywatele, zarówno rolnicy zrzeszeni w spółdzielniach produkcyjnych, PGR-ach, jak i rolnicy indywidualni, agronomowie, technicy, naukowcy. Do walki tej powinno się włączyć całe społeczeństwo, gdyż wynik jej jest służebny wszystkim obywatelom Polski Ludowej — służebny funkcją wzrostu ich dobrobytu.

Z. Cz.

ZBIGNIEW CZAJKOWSKI

WOLA I PRAGNIENIE NARODÓW

(PO KONFERENCJI BERLIŃSKIEJ)

JAKKOLWIEK od zakończenia Konferencji w Berlinie dzieli nas tylko kilka dni i w tej zbyt krótkiej jeszcze perspektywie czasu trudno jest trafnie ocenić skuteczność wyników obrad ministrów czterech mocarstw, to jednak można już teraz wyciągnąć pewne ogólne wnioski.

Przede wszystkim więc można stwierdzić, że wola i pragnienia narodów, miłujących pokój, odniosły sukces polegający na wykazaniu, że najtrafniejszym rozwiązaniem wszelkich spornych problemów polityki międzynarodowej jest idea rokowań, reprezentowana przez Związek Radziecki.

Polityka dyktatu i tajnej dyplomacji, prowadzona przez rządy państw zachodnich, poniosła porażkę. Przedstawiciele tych rządów nie potrafili bowiem uzasadnić swego stanowiska, które przez cztery i pół roku charakteryzowała nieustannie postawa negacji wobec rozmów ze Związkiem Radzieckim. Ponadto rządy niektórych państw zachodnio-europejskich, jak to zresztą najdobitniej wyraziło się w przykładzie francuskim, stanęły w ostrej kolizji z opinią i tendencjami swego narodu. Po prostu okazało się, że rządy te nie reprezentują poglądów większości obywateli swego kraju. Oprócz sprzeczności, istniejących wewnątrz państw zachodnio-europejskich, zarysowały się ostatnio między nimi również inne, odrębne stanowiska wobec szeregu problemów polityki międzynarodowej, między innymi wobec sprawy Chin Ludowych, prowadzenia brudnej wojny w Indochinach. Okoliczności te, a przede wszystkim presja opinii publicznej, opowiadającej się za propozycją Związku Radzieckiego, propozycją wspólnego omówienia spornych spraw, doprowadziły do obrad ministrów spraw zagranicznych Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych, Anglii i Francji.

Mimo oporu i intryg, inspirowanych przed Konferencją przez koła prowojenne z Adenauerem na czele, zmierzających do jej fiaska, obrady doszły do skutku i to jest pierwszym sukcesem idei rokowań, reprezentowanej przez wolę i pragnienia narodów, przez politykę Związku Radzieckiego.

Na konferencję berlińską nie została zaproszona delegacja Chińskiej Republiki Ludowej. W trakcie obrad okazało się jednak, jak słusznym był projekt radziecki zaproszenia na konferencję Chin Ludowych. Trudno jest bowiem poruszać sprawy Dalekiego Wschodu bez współudziału przedstawicieli zainteresowanych państw, a jeszcze trudniej było wyjaśnić Dullesowi, dlaczego nie dostrzegał kraju, liczącego pół miliarda mieszkańców. Stanowisko Związku Radzieckiego znalazło swój wyraz w osiągniętym pod tym względem porozumieniu. Decyzja odbycia w kwietniu br. w Genewie konferencji przedstawicieli czterech mocarstw z udziałem Chin Ludowych i krajów bezpośrednio zainteresowanych w sprawach Korei i Indochin jest drugim sukcesem idei rokowań nad polityką dyktatu.

Trzecim wreszcie sukcesem idei rokowań jest fakt zapowiedzi kontynuowania wymiany poglądów w stosunku do tych spraw, wobec których ministrowie nie doszli do porozumienia. Oznacza to, że dyskusja na konferencji, która nie dała rezultatu, nie jest definitywnie zamknięta.

„Zadania, których na obecnej konferencji nie rozwiązano — oświadczył minister Mołotow na zakończenie obrad berlińskich — nie zostały zdjęte z porządku dziennego. Powinniśmy kontynuować nasze wysiłki i dążyć jeszcze bardziej wytrwale do rozwiązania tych zadań".

Istnieją więc możliwości podjęcia dalszych rozmów i rokowań. Naturalnie, że podjęcie takie jest uzależnione od dalszej postawy państw zainteresowanych, od stopnia ich dobrej woli i chęci pokojowego rozwiązania spraw spornych. Wolę taką wykazuje Związek Radziecki, wykazuje i domaga się opinia społeczna narodów całego świata, domaga się wreszcie sama rzeczywistość. Tworzenie przez państwa kapitalistyczne sztucznych barier politycznych, gospodarczych i kulturalnych stanowi pogwałcenie rozwijających się tendencji współżycia i współpracy ludzi. Przeczą temu zresztą same fakty rozwijającej się wymiany handlowej między tzw. Wschodem a Zachodem, przeczą temu kontakty kulturalne, przeczy temu samo życie.

Ze spraw, które na konferencji nie zostały rozstrzygnięte, na pierwszy wybija się kwestia niemiecka. Naród polski jest specjalnie zainteresowany w pokojowym rozwiązaniu problemu niemieckiego. Narodowi polskiemu nie trzeba bowiem wyjaśniać ani przypominać znaczenia tego problemu. Tragedia Polski i innych krajów z lat 1939—1945 nie może się więcej powtórzyć. Winna być ostrzeżeniem i przypomnieniem dla tych, którzy usiłują restytuować militaryzm i wyhodować rewizjonizm niemiecki. Nie dostrzega, względnie usiłuje nie dostrzegać tego minister Bidault tak, jakby zapomniał już o zagładzie Oradour i setek innych miejscowości we Francji, niszczonych przez hitlerowskie Niemcy. Nie dostrzega, względnie usiłuje nie dostrzegać tego minister Eden tak, jakby zburzenie Coventry i setek miejscowości w Anglii przez hitlerowskie Niemcy należało do wyimaginowanej przeszłości. Natomiast dostrzega wagę tego problemu minister Mołotow, który domagając się utworzenia jednolitych, demokratycznych Niemiec, reprezentuje w tej sprawie nie tylko stanowisko Związku Radzieckiego, ale głos opinii społecznej, pamiętającej Belsen, Dachau i Oświęcim.

„Rządy USA, Anglii, Francji i ZSRR potrafiły porozumieć się w latach wojny — oświadczył Mołotow — powinny one tym bardziej znaleźć drogi do uzgodnienia swych poczynań w warunkach pokoju, zwłaszcza w tym celu, by zapobiec niebezpieczeństwu nowej wojny".

To zdanie, wypowiedziane przez ministra Mołotowa, charakteryzuje politykę ZSRR, która na drodze rokowań i rozmów chce zrealizować pragnienie i wolę narodów — ideę pokoju.

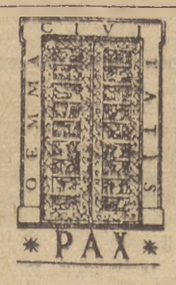

NOWOŚCI NOWOŚCI

Maria Zientara-Malewska, Michał Lengowski, Teofil Ruczyński, Alojzy Śliwa
POEZJE WARMII I MAZUR
Str. 194 Cena zł 10.—

Mikołaj Rostworowski
PRZECIW NOCY
Str. 29 Cena zł 12.—

Mateusz Żurawiec
WIEC W ŚRODKU CZŁOWIEKA
Str. 68 Cena zł 10.—

Sigrid Undset
KRYSTYNA CÓRKA LAVRANSA
T. I—III, str. 303 + 450 + 481
Cena t. I—III zł 75.—

Alessandro Manzoni
NARZECZENI
T. I—II, str. 273 + 283
Cena t. I—II zł 60.—

Św. Hieronim
LISTY
Tom. II. str. 457 Cena zł 23.—

Św. Augustyn
DIALOGI FILOZOFICZNE
Tom I, str. 229 Cena zł 25.—
Tom II, str. 233 Cena zł 25.—
Tom III, str. 251 Cena zł 25.—

Wysyła Biuro Sprzedaży „PAX"
Warszawa, Mokotowska 43, za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu należności na konto PKO W-wa, I-8515/114. Przy wpłatach na PKO prosimy doliczać zł 3.— na koszt przesyłki.
Do nabycia we wszystkich sklepach „VERITASU".

TOMASZ ZANIEC

Geneza „realizmu" politycznego w Polsce II

MIT O ALEKSANDRZE WIELOPOLSKIM

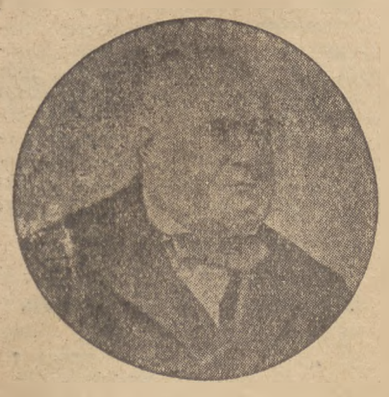

I.

ALEKSANDER WIELOPOLSKI przyczynił się w drugiej połowie XIX wieku do zaszczepienia na gruncie polskim polityki ugodowej w trzech zaborach, nazwanej niebawem — niezupełnie słusznie—polityką realizmu politycznego. Ewolucyjny, ugodowy charakter tej ideologii, jako przeciwstawienie rewolucyjnej, bezkompromisowej walki „romantyków" o wyzwolenie narodu z beznadziejnej sytuacji politycznej i społecznej, stanowić będzie istotną część spadku przejętego przez odłam społeczeństwa. Najzacieklejsi wyznawcy, trzon ideowy tego reakcyjnego grona, trzon, który wypada określić mianem wielopolszczyzny, będzie ulegał niewielkim odchyleniom od początkowej linii taktycznych rachub płytkiego, zachowawczego i eksploatatorskiego stosunku do gwałtownych przeobrażeń ekonomicznych i społecznych. Przeciwnie, godni spadkobiercy Branickich, uczynią wszystko, aby zmiana struktury społecznej Polski na bardziej nowoczesną, europejską — uległa fatalnemu zahamowaniu, a panslawizm nabierze cech imperializmu zabarwionego rasizmem. Wszystkie te elementy stworzyły określony realizm polityczny w Polsce, ten wrośnięty korzeniami w historię dziejów ostatnich stu lat. Szczególna jest historia „realistycznej" ugody dumnego magnata występującego w imieniu warstwy szlacheckiej, a na rachunek narodu — z największą potęgą legitymistyczną Trójprzymierza, z caratem.

FEUDALNA szlachta, jako warstwa, powoli rozpływała się w ustroju własności kapitalistycznej. Teoretycznie, szlachta z nastaniem ery konstytucyjnej przestała istnieć jako odrębny stan społeczny. Praktycznie, oddziaływanie postulatu „égalite" pozostało w Polsce znikome. Bogata szlachta i ziemianie zachowują nadal stanowisko ekonomiczne warstwy uprzywilejowanej, a rewolucyjny rok 1848 znoszący tytuły szlacheckie i arystokratyczne został przekreślony. Dwór monopolizuje w swym ręku produkcję rolną, która pozostaje podstawą gospodarczą kraju. Solidarność stanowa, a raczej już klasowa, wprowadza szlachtę na urzędy tworzone przez zaborców w celu skuteczniejszej eksploatacji kraju. Następuje związanie szlachty z biurokracją miejską i mieszczaństwem. Wspólność interesów szlachty i mieszczaństwa wytwarza, szczególnie jaskrawo na terenie Galicji, typową politykę klanową, antydemokratyczną, jak dziś określilibyśmy — kontrrewolucyjną i klasową. „Byle polska wieś spokojna..."

W tym układzie na prawicy pojawia się **reformistyczna na wewnątrz, a panslawistyczna na eksport** koncepcja Wielopolskiego. Reformistyczna, ale ignoruje ona całkowicie społeczną kwestię uwłaszczenia wsi, nawet po zniesieniu pańszczyzny w Rosji w 1861 r. Panslawistyczna — bo przenosi kierownictwo szlachecko - feudalną politykę z Paryża do Warszawy. Rozpoczyna się próba kompromisu „realnych" postulatów powrotu do „dobrodziejstw" konstytucji Aleksandra z 1815 r., z monarchistycznymi ambicjami Czartoryskiego i Zamojskiego. W tej beznadziejności i zaślepieniu politycznym, Wielopolski rzucił jedno hasło do walki z germańskim naporem, licząc na przygotowanie konfliktu zbrojnego z Prusami.

II.

RESTAURACJA szlacheckiego państewka buforowego, Królestwa Polskiego z 1815 r., **jest osią wszelkich poczynań politycznych Wielopolskiego.** Czym był ten ideał, twór Kongresu Wiedeńskiego i jakie otwierał on perspektywy rozwojowe przed narodem polskim w XIX wieku?

28 lipca 1797 roku w Wysokiej Kancelarii Świętego Cesarstwa Rzymskiego pod dyrektorialną pieczęcią Rzeszy zostały złożone „ad acta Imperii" traktaty trzeciego rozbioru *Königreichs und Staates Polens.* Sprawa państwowości polskiej miała zniknąć z powierzchni Europy do czasu rozsadzenia caratu przez rewolucję październikową.

Gorąco popierany przez Adama Czartoryskiego i starzejących się Stanisława Staszica oraz J. U. Niemcewicza plan Aleksandra I — utworzenia zjednoczonego z Rosją Królestwa Polskiego na gruzach Księstwa Warszawskiego, był już wtedy przez potęgi zachodnie komentowany jako szczytowe osiągnięcie polskiej racji stanu. Talleyrand w dobie Kongresu Wiedeńskiego pisał do Castlereagh'a:

„Polska wrócona do niepodległości, powróciłaby do anarchii, do tego stanu, z którego nie mogła wyjść, jak przy budowie absolutnego rządu. Ponieważ zaś nie miała u siebie elementów tej władzy, musiały one przyjść z zewnątrz w formie gotowej, t. j. Polska musiała ulec podbojowi... Obecnie pozostając podzielona, nie będzie wcale zniweczona. Polacy pod obcym rządem osiągną wiek męski, do którego nie mogli dojść przez dziewięć wieków swej niepodległości..."

Jak widać, w imię „prawdziwej filantropii" działały gabinet francuski i angielski, ba, zmierzały dalej niż szlachetny i liberalny car w swej łaskawości przewidział. Wszak artykuły traktatów wiedeńskich z 3 maja 1815 r., z których miał czerpać natchnienie Wielopolski, głosiły:

„Księstwo Warszawskie (z wyłączeniem poznańskiego i bydgoskiego dep.) połączone zostaje z Cesarstwem Rosyjskim. Połączone zaś ono z nim będzie nieodwołalnie przez swą konstytucję i posiadanie po wieczne czasy przez Najjaśniejszego Cesarza Wszechrosji, jego następców i dziedziców. J. C. Mość zachowuje sobie prawo nadać temu państwu, mającemu używać oddzielnej administracji, rozszerzenia wewnętrzne, jakie uzna za stosowne. J. C. Mość, stosownie do obrządku, używanego i zachowanego w innych tytułach jego, przybierze i doda do nich tytuł cara (króla) polskiego.

Polacy, zarówno poddani rosyjscy jak i pruscy lub austriaccy, będą mieli reprezentację i ustawy narodowe, zastosowane do formy bytu politycznego, jakie każdy z rządów wyżej wymienionych, nadać uzna za najbardziej użyteczne i odpowiednie".

Przytoczony fragment z Traktatu Wiedeńskiego stanowić miał fundamentalną zasadę katechizmu Wielopolskiego. Iluzoryczność tej zasady trafnie określił teoretyk rosyjskiego prawa państwowego — Nolde, że: „autonomia Królestwa Polskiego nie utrwaliła się w żaden sposób, nie weszła nawet faktycznie w życie; ujawniła się ona z początku w martwym, czysto papierowym akcie prawodawczym, w końcu zaś, przy pierwszej próbie wprowadzenia w życie, została zmieciona bez śladu przez falę rewolucyjną 1863 r...". Bornhack określił to jako *„ein Staat ohne selbstständige internationale Existenz".* Bezceremonialnie potwierdzi fakt ten po raz pierwszy po zduszeniu powstania listopadowego car, gdy napisze Paskiewiczowi, — „skrzynkę z nieboszczką konstytucją otrzymałem, będzie ona raczyła tu spoczywać (t. j. w Petersburgu) na wieki wieków", a następnie skwapliwie wyda 14 lutego 1832 roku Statut Organiczny Królestwa Polskiego, który już w art. 1 zmieniał brzmienie dotychczasowej konstytucji („Królestwo Polskie jest na zawsze połączone...") na: „Królestwo Polskie, przyłączone na zawsze do Państwa Rosyjskiego, stanowi nierozerwalną część tego Państwa".

I właśnie o uchylenie Statutu Organicznego walczył Wielopolski, budując na „fundamencie" powrotu do zasad 1815 r. gmach „realnej" polityki. Jaki to był fundament, niebawem rzeczywistość pokazała, niezależnie od przytoczonych słownych wynurzeń.

III.

DALSZYMI elementami „realizmu" politycznego margrabiego są **federalizm i panslawizm,** z czym wiązało się wyparcie „czartoryszczyzny" z kraju i rozbicie jej zagranicą. Jeszcze w 1846 r. Wielopolski opracował program federacji Słowian. Program głosił, że „Czechy, Morawa, Śląsk, Galicja i Styrja zawiązują między sobą wzajemną federację w celu wzajemnej obrony swej niezawisłości i narodowości oraz w celu zachowania wolności i porządku", jako jedno państwo związkowe pod nazwą federacji austriacko - słowiańskiej z dynastią habsburską na czele. Nie przeszkadzało to bynajmniej autorowi, w 15 lat później, program powyższy zastosować do tronu carskiego, co stawia Wielopolskiego w pierwszym szeregu nie tyle panslawistów, ale — panrosjanizmu. W swym panslawistycznym zacietrzewieniu powrotu do ideału 1815 r. Wielopolski — i to trzeba podkreślić z naciskiem — trafnie dostrzegł niebezpieczeństwo zalewu germańskiego z zachodu i południa, w tym kierunku zwracając ekspansję polityczną Rosji. Zamykając granicę wschodnią za Bugiem, szukał zjednoczenia trzech zaborów pod pancerzem carskiej władzy; oczywiście, nie z miłości do narodu ukraińskiego czy litewskiego. I tutaj, ten okaz polskiego magnata pod tym względem, był ślepy na carski imperializm zmierzający bardziej do zupełnego *„objedinienjem"* imperium, niż do skłócenia Trójprzymierza. Nie widział, że carat oczekiwał dogodnej chwili dla flirtu z reformistycznymi konserwatystami polskimi, aby załagodzić ciężki poród zniesienia własnej i polskiej pańszczyzny. Nie dożył Wielopolski carskiej ustawy konstytucyjnej z 1906 r., która lakonicznie ogłosiła, że „Państwo Rosyjskie jest jedno i niepodzielne". Drzewo szlacheckie, na którym Wielopolski chciał oprzeć swoją koncepcję nie tylko usychało, ale w części zdrowej nasycało się coraz silniej sokami rewolucyjnymi. Żywioły rewolucyjne budziły uśpione nadal w swej masie: zagnębioną feudalnym uciskiem, tkwiącą w analfabetyźmie wieś i powstający proletariat miejski. Tym usychającym drzewem szlacheckim była przede wszystkim partia Białych. Zrodziło się owo ugrupowanie z mezaliansu ideologicznego koncepcji Lubeckich i Czartoryskich.

IV.

POZNANIE **historii politycznych wpływów rodziny Czartoryskich** stanowi dziś jeden z kluczy do odcyfrowania losów Polski w XIX wieku i wymaga odrębnego studium. Tu ograniczymy się do faktów podstawowych, z pierwszoplanowej polityki księcia Adama Jerzego Czartoryskiego, której tradycja zakorzeni się do czasów Józefa Becka.

Do powstania listopadowego Czartoryski kontynuował mniej lub więcej zdecydowanie politykę odbudowy monarchii w Polsce, licząc na wspaniałomyślność liberalizujących carów. Pod tym względem wyznawał poglądy zbliżone do Ksawerego Lubeckiego.

Po tej trzydziestoletniej linii nastąpiło salto mortale niekoronowanego króla Adama z przyjaciela na wroga Rosji. Wbrew nawet początkowo jego woli, powstanie listopadowe stało się przyczyną założenia ośrodka monarchistycznego w Paryżu, na przymusowym wygnaniu. Na wewnątrz — Hotel Lambert wiąże się ściśle z ośrodkami ziemiańskimi, później — Towarzystwem Rolniczym, stając się osią poczynań elementów zachowawczych w kraju. Na zewnątrz, Czartoryski pieczołowicie kojarzył politykę nieustannych interwencji dyplomatycznych i zbrojnych mocarstw zachodnich. Losy Polski wykazały, że Czartoryski tracił czas na zabiegi koło premiera Palmertona w 1856 r., podczas wojny krymskiej — wtedy, gdy ambasador rosyjski, hr. Orłow, podpisując pokój paryski raportował do Petersburga z sali obrad: „Jestem całkowicie uspokojony faktem, że na sesjach w obecności przedstawicieli wielkich mocarstw nie słyszałem wyrazu — Polska".

Nie należy zapominać, że Hotel Lambert był powiązany z ośrodkiem konserwatystów krakowskich równie mocno, jak ze stronnictwem Białych w Królestwie. Stąd też jest zrozumiałe, jakim ciosem dla czartoryszczyzny (ale i dla polityki Wielopolskiego), stało się powstanie styczniowe. Później, haniebny akt — słynna konwencja gen. Alvenslebena z lutego 1863 r.—jeszcze raz, w momencie podjęcia walki przez rewolucyjny Centralny Komitet Narodowy, cementując front rosyjsko - pruski, oznaczał klęskę dyplomacji emigracyjnej przez niedopuszczenie, do możliwej — zdaniem Białych — interwencji Anglii i Francji oraz zupełne odsunięcie na bok Austrii. Był to również wyrok śmierci na powstanie. Anglia nie kwapiła się, poprzestając na wyrazach współczucia. Lord Palmerston oświadczał w Izbie Gmin, jako rzecz oczywistą, że każdy rozsądny i humanitarny człowiek zganiłby Wielką Brytanię za wypowiedzenie wojny z powodu Polski, gdyż „niepodobna teraz oczekiwać uspokojenia w innej drodze jak tylko w tej, której pragnęła W. Brytania w 1815 roku, a mianowicie — w drodze utworzenia oddzielnego i niepodległego Królestwa Polskiego". Ale i tu nowy minister spraw zagranicznych Russel uważał, że niezawisłe Królestwo stanie się źródłem niepokoju, ciążąc ku Galicji i Poznańskiemu. „Realizm" Wielopolskiego odżegnywał się od dyplomatycznych zabiegów, trafnie uważając, że przedpokojowa żebranina dyplomacji Czartoryskiego zagranicą, a chwiejność i bezideowość polityki Andrzeja Zamojskiego w kraju, wpadały w nierozwikłane sprzeczności. O ile jednak czartoryszczyzna miała upaść, by stopniowo stworzyć grunt pod zamianę koncepcji pobrzękiwania staroszlachecką szabelką z 1772 r. na program „zwężonej państwowości 1815 r." i pracy organicznej, jak to nazywano — o tyle skompromitowana w powstaniu styczniowym wielopolszczyzna miała się tym upadkiem wzmocnić, tworząc znakomity materiał dla ugruntowania konserwatywno - ugodowych programów w zaborach. Gdy w polityce zagranicznej Wielopolski widział Polskę szlachecką w tworze państewka wygrywającego na ekspansji imperializmu carskiego na zachód, Czartoryski zaś zmierzał do restauracji latyfundiów magnackich na wschodzie drogą negocjacji dyplomatycznych — wtedy budzący się w kraju ruch „czerwonych" szukał wspólnego języka z Garibaldim i Mazzinim, z rewolucyjnymi ruchami w Europie. Antynarodowa, klasowa zgoda Wielopolskiego z caratem w polityce międzynarodowej, wyposażona w rekwizyty federalizmu, panslawizmu i opierająca swe nadzieje na nawróconej czartoryszczyźnie, choć utorowała drogę Wrotnowskiemu i Dmowskiemu, nie znajdzie poparcia przeważających warstw nieposiadających. Charakter polityki Wielopolskiego ujawnia się dopiero w realizacji programu reform wewnętrznych w kraju.

(Dokończenie w następnym numerze)

*) Część pierwsza została ogłoszona w numerze 4(426) „Dziś i Jutro" r. br.

PIĘKNA ROCZNICA

Jarosław Iwaszkiewicz kilka dni temu obchodził sześćdziesięciolecie swoich urodzin (20.II. 1894). Z tą rocznicą zbiegła się niemal dokładnie czterdziesta rocznica Jego pięknej pracy pisarskiej. Wraz z Jubilatem obchodziła to święto cała Polska, uczestniczyli w nim myślą i słowami przesłanych gratulacji przedstawiciele literatur wielu krajów. Każdy spośród nas, czytelników Jego urzekających książek, cieszył się tym świętem, jak świętem kogoś bardzo bliskiego.

W dniu Jego urodzin w Domu Literatów w Warszawie odbyła się specjalna uroczystość. Przybyli na nią członkowie Rady Państwa, przedstawiciele KC PZPR, członkowie Prezydium Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju, przedstawiciele licznych organizacji, artyści, koledzy po piórze. Udekorowano Jubilata Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Odrodzenia Polski, Prezes Rady Ministrów Bolesław Bierut nadesłał życzenia z wiązanką kwiatów, przemówienie, poświęcone twórczości autora „Czerwonych tarcz", wygłosiła Maria Dąbrowska, o wytężonej pracy pokojowej Jarosława Iwaszkiewicza mówił w imieniu PKOP poseł Ostap Dłuski. Dłonie przyjaciół ściskały serdecznie dłoń od czterdziestu lat trudzącą się owocnie piórem. A ileż mocnych uścisków dłoni przesyłały w myśli tłumy czytelników?

Te tłumy — to chyba największa radość i duma pisarza. Radość, że ciągle łakną Jego książek, że każdą nową pozycję i każde cenne wznowienie rozchwytują łapczywie. Duma, że tych pozycji i wznowień dużo, coraz więcej i że wszystkie składają się na dzieło dojrzałe, stanowiące trwałą zdobycz pięknej sztuki mądrego pisania. Osobne rozprawy, eseje i artykuły, które zajmują się i będą się zajmowały oceną dorobku pisarskiego Jarosława Iwaszkiewicza (warto tu wspomnieć drukowane w naszym piśmie prace Włodzimierza Pietrzaka i Stefana Lichańskiego) określą precyzyjniej jakość i zakres dzieła wielkiego prozaika i poety. Dzisiaj jedno można i trzeba stwierdzić z okazji radosnego jubileuszu: dzieło Jarosława Iwaszkiewicza zdobywa swą humanistyczną szerokością i głębią, zdobywa swym rzetelnym artyzmem.

Nie da się objąć tego dzieła rozmiarami gratulacyjnej noty, którą się przyłączamy do powszechnego hołdu wobec zasłużonego pisarza. Czterdzieści lat wytężonej, twórczej pracy owocowało z obfitością urodzajnego sadu. Przed wojną: Oktostychy, Zenobia Palmura, Legendy i Demeter, Dionizje, Ucieczka do Bagdadu, Hilary syn buchaltera, Siedem bogatych miast nieśmiertelnego Kościeja, Księżyc wschodzi, Wieczór u Abdona, Pejzaże sentymentalne, Kochankowie z Werony, Księga dnia i nocy, Zmowa mężczyzn, Powrót do Europy, Lato, Panny z Wilka, Czerwone tarcze, Pasje błędomirskie, Inne życie... Nieprzerwany, zwycięski szereg dzieł. A po wojnie: nowe zbiory poezji, Nowele włoskie, Nowa miłość, Stara cegielnia, Dom na pustkowiu... Szereg ciągle rosnący, ciągle wzbogacający naszą literaturę i nas samych: Odbudowa Błędomierza, Wycieczka do Sandomierza, Warkocz jesieni. Monografie, eseje, szkice literackie — wielka pełnia pisarska. Wydawnictwa zapowiadają nowe pozycje, drukarnie tłoczą nowe wznowienia, pisarz pracuje nad nowymi książkami...

A jednocześnie pisarz walczy na wszystkich niemal międzynarodowych trybunach obozu pokoju, znają go wszystkie wielkie konferencje pokojowe, jest wszędzie tam, gdzie wzywa go piękny obowiązek reprezentowania słusznej sprawy. Dlatego wszyscy są z nim, dlatego jego dzieło jest dziełem bliskim człowiekowi, dlatego, gdyby Jubilat mógł uścisnąć wszystkie dłonie, które w dniu Jego święta pragnęły Mu przekazać mocny uścisk pełen wdzięczności i szacunku — zbyt utrudziłaby się pisarska dłoń.

Niechaj więc te słowa będą uściskiem przesłanym z daleka, ale i z bliska jednocześnie, niech będą skromnymi wyrazami uznania i życzeń najszczerszych: dalszej pięknej pracy nad wspaniale tworzonym dziełem...

KOŚCIÓŁ A POCZĄTKI KOLONIZACJI HISZPAŃSKIEJ

(Dokończenie ze str. 1).

ciół wówczas nie wypowiadał się oficjalnie na temat niewolnictwa. Kuria rzymska podzielała panujące ogólnie poglądy, nie próbując zająć wobec nich stosunku wynikającego z Pisma Świętego i tradycji Kościoła. Zresztą, w czasie wydawania bull 1452 i 1455 r., papież Mikołaj V był chory i nie jest wykluczone, że niewiele wiedział o bullach wydanych w jego imieniu, zwłaszcza, gdy chodzi o drugą z nich.

Stan posiadania Portugalczyków w Afryce potwierdzili i następni papieże: Kalikst III bullą *Inter caetera* z 13 marca 1456 r., Sykstus IV bullą *Aeterni patris* z 21 czerwca 1481 r., a i później potwierdzano je jeszcze niejednokrotnie.

Gdy w roku 1492 Hiszpanie odkryli Amerykę, powstała natychmiast obawa, że Portugalczycy będą próbowali odebrać im część zdobyczy albo też zechcą usadowić się w Ameryce obok Hiszpanów. Istotnie, król portugalski Jan II — na wiadomość o czynach Kolumba — szykował wyprawę do Ameryki powołując się na bullę papieską z r. 1455, która mu dawała monopol na drodze morskiej do Indii i prawo zajmowania krajów i wysp na tej drodze. Wobec tego król Aragoński i regent kastylski, Ferdynand, zwrócił się do papieża o wydanie dla Hiszpanii takiej samej bulli wyłączającej innych od odkryć hiszpańskich, jaką dano w r. 1455 Portugalczykom dla zabezpieczenia im zdobyczy afrykańskich. Papież Aleksander VI Borja (czyt. Borha), Hiszpan związany przyjaźnią z dworem hiszpańskim bullą *Inter caetera,* zredagowaną w kwietniu, datowaną 3 maja, ale wysłaną 17 maja 1493 r. dał Hiszpanom wyłączność posiadania ziem przez nich zdobytych. Pod koniec maja bulla przyszła do Hiszpanii, ale, tu wywołała zastrzeżenia, gdyż nie rozgraniczała sfery działania obu panstw iberyjskich. Król Ferdynand zwrócił się tedy z prośbą o nową bullę i prawdopodobnie już w czerwcu papież ją wydał, choć datował ją 4 maja. I ona zaczynała się od słow *Inter caetera.* Określała, że to, co leżało o sto mil hiszpańskich na zachód od linii idącej od bieguna północnego do południowego przez Wyspy Azorskie, miało należeć do Hiszpanii, na wschód zaś — do Portugalczyków. W lipcu tegoż roku bullą *Eximiae devotionis,* także antydatowaną na 3 maja, papież powtórzył swą donację, uzupełniając tylko stronę formalną swego poprzedniego dokumentu. Decyzję swą uzupełnił ponadto bullą *Dudum siquidem* z 26 września 1493 r.

Ten krok papieski nie podobał się dworowi portugalskiemu jako zbyt korzystny dla Hiszpanii. Przedstawiciele obydwu tych państw ugodą w Tordesillas w czerwcu 1493 r. przesunęli granicę dzielącą posiadłości hiszpańskie od portugalskich do 270 mil hiszpańskich na zachód od Azorów.

Bulla *Inter caetera* darowywała *(in perpetuum donamus et assignamus)* Hiszpanii wszystkie wyspy i kontynenty, które już zostały odkryte na zachód od wymienionej linii i pod karą ekskomuniki zakazywała komukolwiek bez pozwolenia Hiszpanii dostępu do tych krajów. Bulla ta wywołała żywą dyskusję trwającą niemal do ostatnich czasów. Przypisywano jej jednak o wiele większe znaczenie niż miała naprawdę. A przecie z porównania jej z bullami Mikołaja V wynika wyraźnie, że nie szła ona tak daleko, jak te ostatnie. Nic nie mówiła o niewolnictwie, bardzo natomiast stanowczo podkreślała obowiązek Hiszpanów szerzenia wiary w Ameryce: *„Polecamy wam w imię świętego posłuszeństwa, tak jak obiecaliście, a nie wątpimy, że ze względu na wielką pobożność i wielkoduszność królewską zrobicie to, co jest waszym obowiązkiem, a mianowicie, byście do kontynentów i wysp wymienionych wysłali ludzi prawych i bojących się Boga, uczonych, biegłych i doświadczonych dla pouczenia wymienionych mieszkańców stałych i czasowych w wierze chrześcijańskiej i dobrych obyczajach, stosując przy tym całą należną gorliwość".* Słowa te adresowane były do króla, ale odnosiły się oczywiście do całego narodu. Nad bullą tą jednak zaciążyło ujemnie imię Aleksandra VI. Trzeba wszakże powiedzieć, że — niezależnie od jego prywatnego postępowania — w bulli tej dał on tylko wyraz panującym wówczas w kurii poglądom na władzę doczesną papieża, poglądy te podzielali i jego poprzednicy, nie on pierwszy z nimi wystąpił. Poza tym zaś w niczym nie uchybił tradycyjnej nauce Kościoła. Nie tylko bowiem dawał Hiszpanom prawo do Ameryki, ale wzywał ich zarazem na wszystko co święte, by w sposób uczciwy szerzyli w niej wiarę chrześcijańską *(Nos igitur... hortamur vos quam plurimum in domino et per sarci lavacri susceptionem, qua mandatis apostolicis obligati estis et viscera misericordiae domini nostri Iesu Christi, attente requirimus ut, cum expeditionem huiusmodi omnino prosequi et assumere proba mente, orthodoxae fidei zelo, intendatis, populos in huiusmodi insulis et terris degentes ad christianam religionem suscipiendum inducere velitis et debeatis).* Nie można zatem powiedzieć, by Aleksander VI patronował temu, co się zaczęło dziać naprawdę w Ameryce hiszpańskiej, bo w lipcu czy czerwcu 1493 r. wiedzieć tego jeszcze nie mógł. Inna sprawa, że — z czysto kościelnego punktu widzenia — krok Aleksandra VI był fatalny w następstwach, dawał bowiem podstawy patronatowi królewskiemu nad kościołem w Ameryce, co się ogromnie ujemnie odbiło na jego losie.

Poza tym bulle Aleksandra VI, ściśle biorąc, nie tworzyły podstaw prawnych hiszpańskiego państwa kolonialnego, gdyż nie zostały uznane przez wszystkie państwa zainteresowane. Gdy król hiszpański skarżył się rządowi francuskiemu, że kapitan francuski, Jan Florin, obrabował (wiozący skarby Azteków z Ameryki) statek hiszpański i łupy zawiózł królowi francuskiemu Franciszkowi I, ten ostatni kazał poinformować króla hiszpańskiego, że jeśli Hiszpania i Portugalia podzieliły świat między sobą bez Francji, to niech na dowód pokaża testament praojca Adama, który ich ustanowił właścicielami tych ziem. Dopóki tego testamentu nie zobaczy, będzie się uważał za uprawnionego do odbierania im skarbów amerykańskich. Same zresztą Portugalia i Hiszpania nie zadowoliły się arbitrażem papieża zawierając, jak powiedziano wyżej, układ w Tordesillas. Słusznie zatem jeden z badaczy zwrócił uwagę, że nie można mówić o utrzymaniu się rozjemczej decyzji papieża, nie ona bowiem dała podstawę podziałowi zdobyczy kolonialnych. Tym bardziej nie można w niej widzieć doktrynę o prawie Europejczyków do kolonizacji ze wszystkimi jej potwornymi następstwami, skoro w bullach Aleksandra VI jest mowa tylko o obowiązku chrystianizacji, a więc — w świetle ówczesnych poglądów — uczynienia tubylców pełnoprawnymi ludźmi.

ZBIGNIEW KUTHAN

PRUS NA NOWO POZNANY

LISTY Bolesława Głowackiego-Prusa do narzeczonej i żony, Oktawii z Trembińskich, zostały obecnie opublikowane po raz pierwszy. W przedmowie do ich książkowego wydania dokonanego nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich wyjaśniono, iż były one przygotowane do druku jeszcze przed ostatnią wojną, która przeszkodziła sfinalizowaniu zamierzenia.

Autografy listów zostały ofiarowane w swoim czasie przez żonę Bolesława Prusa ich dzisiejszemu wydawcy — pani Helenie Porębskiej. Nie od rzeczy wspomnieć będzie, iż w przedsłowiu książki p. Porębska, którą łączyła z żoną Bolesława Prusa bliska zażyłość, wspomina o rozmowach prowadzonych z towarzyszką życia pisarza „przez lata całe". Szkoda zatem, że powoływane rozmowy nie znalazły przy obecnej okazji szerszego odzwierciedlenia i zobligować należy dotychczasową posiadaczkę listów do opublikowania wszelkich nieznanych dotąd faktów dokumentujących życie i pracę Prusa.

Nasuwa się również uwaga, że nie wspomniane jest nigdzie o listach żony do pisarza, które mogłyby również wzbogacić naszą o nim wiedzę. Jeśli listy takie istniały i uległy zniszczeniu w czasie ostatniej wojny, ciekawa byłaby choćby wiadomość o ich losie.

Szczególnie ciekawy jest pierwszy list zbioru, tytułowany bardzo formalnie „do panny Oktawii", w którym Prus po raz wtóry stwierdza swój zamiar zdobycia jej ręki. Pismo to obok danych ukazujących ówczesną pozycję i plany życiowe wytrwałego konkurenta, ma wiele z ulubionej przez Prusa t r a k t a t o w o ś c i, jest w tym wypadku jakby popularno-filozoficzną rozprawką o regułach, jakimi kierować się winno przy podejmowaniu decyzji małżeńskich. Czytamy tam również zdanie: „ufając mi zatem, może nie będziesz Pani potrzebowała ani wstydzić się za mnie, ani żałować zaufania." (s. 10). Obietnicy swej pisarz dotrzymał. Jednym z elementów wspólnych całej korespondencji jest ton niesłabnącej czułości i przywiązania do narzeczonej a potem żony, której wpływ na siebie ocenia w słowach — „czuję jednak, że tylko z Tobą i przy Tobie będę mógł zostać człowiekiem przyzwoitym." (s. 29, list z 7.VIII.1873). Uczucie to znalazło najgłębszy wyraz w roku 1895, gdy wielkie dzieło Prusa — „Faraon", zostało dedykowane właśnie żonie; zawarty w liście z 8.X. 1895 odautorski komentarz do tego faktu brzmi — „Szczerze pragnąłbym, aby ta powieść rozeszła się jak najszerzej i została jak najdłużej z Twoim Kochanym Imieniem"...

Najbardziej zaciekawiającymi z książki są fragmenty dotyczące rozwoju Prusa jako pisarza i drogi krystalizowania się w nim świadomości życiowego powołania. Jeśli pada już słowo „powołanie", to pamiętać trzeba, iż za powołanie swoje Prus długo bardzo traktował nie literaturę, lecz działalność publicystyczno-naukową. Pojęcie twórczości artystycznej zostało w świadomości jego pomniejszone przeświadczeniem o prymacie działania bardziej konkretnego, organicznego, a powtórnie brakiem wiary w materialne wyniki tej pracy.

Z korespondencji do narzeczonej wynika, iż zatrudnienia redakcyjne pisarz uważa za prowizorium, w trakcie którego szuka posady stateczniejszej — od „belferki", „drogi fabrycznej" i stanowiska kasjera w Banku Towarzystwa Wzajemnego Kredytu (600 rubli pensji, 150 gratyfikacji i 7 godzin roboty), aż po „posadę na kolei w Rosji".

W liście z r. 1874 stwierdza wprawdzie Głowacki, iż — „moje stanowisko literackie z każdym dniem się umacnia i stosunki rozszerzają", lecz jego nastawienie do tych spraw jest bardzo utylitarne. „Dziś odniosłem ostatni o b s t a l u n e k o 6 wieczór" — donosi w tym czasie, pisząc zarazem z zadowoleniem, iż należy „do osobistości najlepiej płatnych i przy tym dość poszukiwanych".

Bolesław Prus w wieku młodzieńczym

Ambicja jednak zachęcać go poczyna do usamodzielniania i doskonalenia formy swych publikacji. Wspominając o projektowanych szkicach „z życia i miejscowości tutejszych", sam ocenia, iż w wypadku powodzenia — „wytworzy to odrębny rodzaj prozy". To pogrążenie w literaturze staje się coraz bardziej widoczne, Prus poczyna wątpić w możliwość i celowość realizacji innych projektów — oswaja się z myślą zostania pisarzem. Dopiero jednak w roku 1898 padają w jednym z listów na określenie własnej działalności właściwe, niezamierzenie dumne słowa — „praca twórcza".

Zawarciu małżeństwa towarzyszy przerwa w korespondencji. Lata 1874 — 1881 nie znajdują oświetlenia w listach. Dopiero wyjazdy wypoczynkowe a przede wszystkim wyprawa za granicę, powodują serię ciekawych wiadomości z podróży.

Ta jedyna większa podróż Prusa trwa od maja do września 1895. Najdłużej przeciągnął się pobyt w Berlinie (niemal miesiąc), skąd wyniósł pisarz najwięcej chyba wrażeń. Łączyło się to przy jego sumienności i poczuciu obowiązku z ogromną pracą, czas schodzi mu niemal bez wyjątku na oglądaniu i notowaniu osobliwości, i codziennym, trwającym do północy porządkowaniu zapisków. W liście z 8.VI.1895 czytamy — „...nie jestem „turystą", który w ładnej formie ma podać swoje wrażenia i dowcipnie zakpić z Prusaków, ale jestem jakby delegat, który musi sprostować wiele błędnych opinii i wskazać czytelnikom rzeczy o jakich nie mają pojęcia."

Obywatelskiej trosce o społeczny sens każdego swego kroku, która charakteryzuje Głowackiego od lat najmłodszych — towarzyszy teraz świadomość odpowiedzialności za rzetelność artystyczną swych literackich zamysłów. „Z jaką pracą przetrawia się te nowości..." — zwierza się żonie w trakcie podróży, koniecznej — ponieważ — jak pisze dalej — „...w Warszawie po prostu usychałem z braku odpowiedniego zajęcia. Bo i co to jest — ciągle snuć z siebie, ciągle przerabiać te same, wcale niebogate materiały. W takim stanie dusza więdnieje." (list z 3.V.1895).

Niezmiernie ciekawe jest śledzenie drogi dojrzewania w umyśle pisarza jakiejś koncepcji artystycznej. Pobyt w Berlinie traktuje jak więzienie, siedzi tam jednak uparcie, póki nie będzie czuł się w prawie stwierdzić: „...już rozumiem stolicę Niemiec. Miasto piękne, za piękne, ale zimne jak lód. Za miliony nie chciałbym tu mieszkać całe życie".

Charakterystyczną i wartą przytoczenia jest opinia o mieszkańcach Berlina: „Ludzie tu uczciwi, dobrzy i nawet grzeczni, ale chyba mają kamienne serca, taki dziwny ich wygląd i zachowanie. Jest to naród, w którym rozwinęła się myśl i wola ze szkodą uczucia."

Karlsbad, Drezno, Norymberga, Stuttgard, Rapperswil i Paryż — oto dalsze etapy pielgrzymki pisarza, w czasie której coraz niecierpliwiej wygląda dnia powrotu. Najmniej entuzjazmu budzi w nim Paryż, który zdaniem jego traci w zestawieniu z miastami niemieckimi. Czyni przy tym naiwną niemal uwagę, że „kto widział jedno duże miasto, ma wyobrażenie o innych i nie potrzebuje już zbyt głębokich robić studiów."

Opublikowane obecnie listy Prusa są oczywiście cennym przyczynkiem do wyrobienia sobie poglądu na postać pisarza, zapoznanie się jednak z nimi wywołuje pewien niedosyt. Za mało odnajdujemy tam Głowackiego-literata, którego przecież znamy najlepiej.

Komentarz do wydanego zbioru listów, aczkolwiek pracowity, ma jednak luki. Oto jeden z przykładów: w liście z 9.X.1910 r. (list nr 63), Prus pisze o „elektryzujących wiadomościach" bez ich dłuższego omówienia, zaś przypisy nie wyjaśniają o co właściwie chodzi. Być może natomiast, że pisarz miał na myśli dość skandaliczny proces toczący się właśnie w tych bodajże latach w Częstochowie. Sprawa ta nie jest naturalnie najważniejsza, jednak sprawdzenie podobnych szczegółów należy do obowiązków komentatora.

*) Bolesław Prus — „Listy do narzeczonej i żony", opracowała Helena Porębska, Wrocław 1953, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, str. 139, cena zł 8.50.

WIESŁAW SZYMAŃSKI

„ASTROLABIUM Z JODŁOWEGO DRZEWA"

GDY zastanawiam się czasami nad tym, co z dorobku naszej powojennej poezji pozostanie trwałe i nieprzemijające w okresie, który będzie już obejmował nie lata, lecz wieki, przychodzi mi na myśl, że takimi „niewymiernymi wartościami" będą przede wszystkim poematy. Nie świadczy to oczywiście o tym, by w liryce współczesnej nie można było znaleźć prawdziwych pereł — jest ich dużo — nie świadczy to również i o tym, by wszystkie poematy miały się przedostać do wieczności. Bynajmniej. Chcę wyrazić jedynie przypuszczenie, iż rzeczywistość przedstawiana w poematach jest ujmowana lepiej, bardziej przekonująco i bardziej wymownie niż rzeczywistość w małych formach wierszowych. Czyżby więc należało wnioskować, że liryka przechodzi pewien niebezpieczny kryzys, że do głosu dochodzą dzisiaj raczej gatunki, w których przeważa pierwiastek epicki? Chyba nie. Prawdopodobnie jest to spowodowane tym, że współczesnemu twórcy jest jakoś dogodniej wypowiedzieć się szczerze w większych formach poetyckich, że nie jest on zdolny do zamknięcia swych doznań w ramach o wiele ciaśniejszych. Najprawdopodobniej jednak jest wypływem tego, że w gatunkach, które przeznaczone są do ujmowania świata w sposób bardziej pełny, trudniej jest wykryć fałsz i spaczoną prawdę niż w drobnych lirykach, gdzie każde niedociągnięcie wyczuwa się niemal intuicyjnie. Bo nie możemy przecież mówić o skłonnościach do epickiego przedstawiania rzeczywistości przez dzisiejszych poetów. Uwspółcześnionego autora „Zofiówki" — nie mówię już o Trembeckim z XVIII wieku — nie znajdziemy, jest to więcej niż pewne. Niektóre poematy tym się po prostu dzisiaj różnią od drobnych utworów, że są... dłuższe. Nie zatracają one tym samym lirycznego, emocjonalnego napięcia. (Przypomnijmy chociażby „Mazowsze" Broniewskiego, „Niobe" czy „Dzikie wino" Gałczyńskiego, „Poemat o mowie polskiej" Jastruna). A o ile możemy mówić o jakimś bardziej epickim ujęciu świata, to tylko w tych poematach, które ujmują w artystycznej wizji postać jakiegoś człowieka, np. „Słowo o Karolu Świerczewskim" Broniewskiego, „Wit Stwosz" Gałczyńskiego — chociaż i w nich bez trudu można dostrzec partie całkowicie liryczne, a nawet sam opis, akcja, zdarzeniowość również są przepuszczane przez pryzmat spojrzenia lirycznego. Do tych ostatnich zaliczyć trzeba Śliwiaka poemat o Koperniku.

*

GDYBYŚMY chcieli wykrywać wzory w kompozycji i ujęciu tematu przez Śliwiaka — bez wątpienia natknęlibyśmy się przede wszystkim na nazwisko Gałczyńskiego. Na ślad tej — powiedzmy — zależności naprowadza nas od razu budowa niektórych fragmentów „Wita Stwosza" i „Astrolabium":

Dwie wieże królowały miastu
i mieszczanom,
„Ratuszowa" i druga „Świętojańską"
zwana.

Na pół drogi od ziemi ku ciemnym
obłokom
dwóch ludzi spoglądało na miasto
z wysoka.
(„W mieście rodzinnym")

to Śliwiak.

A Gałczyński:

Dom na wzgórzu. Z oknami dziesięcioma.
W każdym oknie pelargonia nieruchoma.

Dom ceglany w słońcu się rumieni,
jakby wielkie jabłko na jesieni.

(„Przypisy")

Ktoś powie, być może, że dystychy i asonanse nie dają jeszcze podstaw do wyciągania zbyt pospiesznych analogii. Co innego, gdyby ukształtowanie metryczne było takie samo. Tak, ten ktoś będzie miał nieco słuszności. My jednak przy naszym spostrzeżeniu utrzymamy się. Upoważnia nas do tego i kompozycja i sam sposób przedstawiania. Oczywiście — z powodu pewnych podobieństw nie czynimy Śliwiakowi zarzutów. Bynajmniej. Mogły one przecież być „bezwłasnowolne". A poza tym poemat Śliwiaka dużo się różni od „Wita Stwosza". Śliwiak chciał rzeczywistość przedstawianą ująć jakoś szerzej, pełniej, chciał ją jakoś bardziej całościowo przedstawić i przez te ambitne zamierzenia okazał się mistrzem nieco gorszym od Gałczyńskiego, który przeprowadził w doborze materiałów dużą selekcję i świadomie odciął się od mówienia wszystkiego. Taki np. fragment „W stronę ziemi" wydaje się nieco niepotrzebny w całym kontekście poematu, rozsadza bowiem jego ramy, odrywa nas od samej osoby Kopernika. Stwierdziliśmy przed chwilą, że Śliwiak niepotrzebnie zbyt dużo chciał powiedzieć. Trzeba tu dać małą poprawkę. Istotnie, Śliwiak starał się jakoś bardzo wyczerpująco przedstawić nam postać Kopernika, ale Kopernika-astronoma. W tej poetyckiej rzeczywistości bardzo mało znajdujemy z „życia prywatnego" Mikołaja, stąd jest on dla nas zbyt daleki, zbyt wyidealizowany, zbyt zapatrzony w niebo. I tutaj — o ile ciągle już musimy mieć przed sobą Wita Stwosza — wydaje nam się, że ten ostatni jest nam bliższy, gdyż został ukazany nie tylko jako rzeźbiarz, ale i jako człowiek, człowiek, który cierpi i boryka się z trudnościami losu. Poemat Śliwiaka ma coś z cukierkowatej hagiografii, z niepotrzebnej, nieprzekonującej lukrowatości. Kopernik w ujęciu Śliwiaka — to człowiek, który już w młodości od spraw kupieckich stronił i w gwiazdach szukał ciszy i ucieczki" („W mieście rodzinnym"), to człowiek, który wykręca się od przyjacielskiej pijatyki, gdyż „inne światło go nęci", człowiek, który „przez wszystkie cztery pory roku gwiazd drogi badał i myślą wyprzedzał" („Ziemia gościnna"). I nawet w stosunku do „pięknej dziewczyny", kiedy wydawało się, że rodzą się w nim bardziej ludzkie uczucia, Mikołaj ma w sobie coś z astronoma:

Włos jej piersi przysłaniał kształtne
i wysokie,
włos to był, czy też słońce poskręcane
w loki?
Oczy długo patrzyły, aż astronom młody
dwie gwiazdy w nich zobaczył nieznane
a złote.
Odkrywał pierwsze światła konstelacji
nowej
i nie wiedział czy ziemskie są czy
księżycowe.
(„Nieznana Konstelacja")

Być może, że Kopernik taki właśnie był (przecież na pewno niejednokrotnie byli bardzo pobożni święci w ujęciu równie bardzo pobożnych paniuś), lecz przedstawianie go w taki sposób nie jest zgodne z zasadami typowości. W tym wypadku trzeba uciec od prawdy, chociażby była ona poparta niezachwianymi dowodami.

Koncepcja Śliwiaka ma jednak swoje dobre strony. Zwłaszcza wtedy, gdy jest mowa o Koperniku-uczonym. Śliwiak słusznie podkreśla upór i zaciętość badacza w poszukiwaniu prawdy, badacza, który nie może pozwolić sobie na zbyt pochopne wyciąganie wniosków, który musi dogłębnie, do ostatnich granic poznawać stojące przed nim zagadnienia:

Noce bezsenne i krótkie noce
gwiaździsty chwieją baldachim,
od wypatrywań aż pieką oczy
jakby kto sypnął w nie piachem.
Cyfry obliczeń w kolumn szeregach
wciąż nowe rodzą zwątpienia
„słońce dokoła ziemi obiega,
środkiem wszechświata jest ziemia...?
Ciała niebieskie się obracają
dokoła ziemi, dokoła..."
księgi potwierdzą to, Mikołaju!
— Nie wierzy księgom Mikołaj.
(„Tajemnica")

Okazało się, że „silniejszy jest prawdy głos" Koncepcja Kopernikowska zwyciężyła. Lecz nie skończyło się jeszcze pole dla dociekań. Kopernik wdarł się w tajemnicę wszechświata siłą swojej spekulatywnej myśli — dzięki niemu my „dzisiaj atomów rozbitych siłą wtargniemy w światy nieznane jeszcze", gdyż „niebo jak Jego księga otwarta" („Pierwsze rakiety").

W poemacie Śliwiaka kryje się stosunkowo dużo pierwiastków epickich, co jest zapewne spowodowane całą koncepcją utworu. Nie wynika jednak z tego powodu jakaś opisowa suchość. Oto swobodnym nurtem płynące opowiadanie o czasach jakże odległych niespodziewanie przeradza się w informującą narrację, której aspekt czasowy odpowiada młodości Mikołaja („W mieście rodzinnym"). A taki np. fragment „Nocna przygoda" pochodzenie swoje wywodzi chyba z gatunków balladowych. Obok zaś „Rozstania" o jakimś charakterze bardzo opisowym, informującym, znaleźć można bogatą w elementy liryzacyjne „Pelerynę kleryka" — przypomnijmy chociażby końcowy, jakże efektowny obraz poetycki:

Pelerynie kleryka
cień doszywał tren długi,
lecz się odprul na progu kościoła.
Chcąc się uczyć i wnikać
w wyzwolone nauki
został księdzem astronom Mikołaj.

lub inny, autonomiczny fragment o bardzo silnym ładunku emocjonalnym:

W lunaparku, pamiętam, wieczorem,
pewien człowiek o twarzy pijaka
wykrzykiwał:
„Kto gwiazd amatorem,
niech się zbliży,
niedrogo,
— szóstaka!"
Przed nim stała niewielka luneta
obrócona do gwiazd grubszym końcem.
— Nawet takiej nie miał,
myślałem,
a ziemię wzruszył
i wstrzymał słońce.

*

Półsztywna, estetyczna okładka, przyjemne, stylizowane rysunki Jerzego Skarżyńskiego, dobry papier i druk — to składniki integralnie złączone z poematem. Całość więc robi wrażenie bardzo dodatnie. A wszystko to jedynie za 3 zł 20 gr.

Tadeusz Śliwiak: „Astrolabium z jodłowego drzewa". Wydawnictwo Literackie. Kraków. 1953, str. 50.

Już w najbliższym numerze
rozpoczynamy druk
opowiadania
MATEUSZA ŻURAWCA p. t.
„JACK KERTON NIE WRACA DO BAZY"

KALIKST MORAWSKI

„NARZECZENI"

WŚRÓD arcydzieł literatury romantycznej, zbyt mało znanych, należy umieścić również i powieść Manzoniego: „Narzeczeni" **(promessi Sposi")**. Autor pokazuje w niej najlepszą stronę swego wielkiego talentu; poświęcił też jej najwięcej czasu oraz pracy. Powieść ta odzwierciedla ponadto charakter romantyzmu włoskiego, który znacznie się różni zarówno od romantyzmu niemieckiego, angielskiego czy też francuskiego, przez to, że kładzie on nacisk na zupełnie inne zagadnienia.

Romantyzm włoski powstał stosunkowo późno. Oficjalnie uznaje się za jego początek wystąpienie poety i krytyka literackiego w roku 1816. Berchet, bo o nim mowa, zwrócił uwagę na konieczność odświeżenia literatury, niewolniczo trzymającej się szablonów dawnych, wskazał na wzory niemieckie. W swym programie odnowienia literatury żąda on przede wszystkim spontaniczności, dalej domaga się wprowadzenia pierwiastka ludowego i życia współczesnego do twórczości poszczególnych pisarzy i wreszcie kładzie nacisk na konieczność uwzględniania pierwiastka religijno-moralnego oraz narodowego w znacznie większych niż dotychczas rozmiarach.

Manzoni uzupełnia program swego poprzednika. Gdy ukazał się manifest romantyczny Bercheta, Manzoni miał za sobą lata głębokich przeżyć osobistych i bogatą twórczość literacką. Urodzony w atmosferze sceptycyzmu wieku XVIII i wychowany w niej, pisał początkowo poezje klasyczne utrzymane w duchu humanitaryzmu wieku oświecenia. W okresie między 1808 a 1810 rokiem następuje przełom w jego umysłowości, który zakończy nawrócenie autora. Odtąd pierwiastek moralności chrześcijańskiej będzie nieodłącznym towarzyszem jego życia, nadając zabarwienie chrześcijańskie jego humanitaryzmowi. Zetknięcie się z nowymi prądami w literaturze światowej w połączeniu z przemianami, jakie zaszły w umysłowości Włochów zwłaszcza po 1815 roku, skierują talent poetycki Manzoniego na inne tory. Świadectwem nowego kierunku w poezji Manzoniego będzie liryka religijna, polityczna, ponadto dwie tragedie: **„Adelchi"** i **„Carmagnola"**.

Wystąpienia Manzoniego spotkały się z ogólnym uznaniem. Zwłaszcza zasługuje na podkreślenie stanowisko Goethego. Wielki poeta niemiecki nie szczędził pochwał swemu koledze włoskiemu. Lecz Manzoni sam czuł, że nie dał jeszcze tego, na co go było stać. Rozumiał, że nie stworzył jeszcze dzieła na wielką skalę. Takim dziełem będą dopiero **„Promessi Sposi"**.

Pracę nad swą powieścią rozpoczął Manzoni w roku 1821. Pierwsza redakcja gotowa była w roku 1823, lecz autor był z niej niezadowolony, wprowadził szereg zasadniczych zmian, co zajęło mu dużo czasu, tak, że pierwsze wydanie ukazać się mogło dopiero w 1827 roku. Lecz i tu autor się nie zatrzymał. W dalszym ciągu uważał, że „Narzeczeni" wymagają jeszcze całego szeregu poprawek, głównie językowych, co znowu zajęło wiele lat, aż wreszcie w 1841 roku Manzoni uznał swą powieść za ostatecznie ukończoną. Sam fakt, iż autor tyle razy zmieniał lub przerabiał swą książkę, świadczy, że przywiązywał do niej wielką wagę i że możemy ją uznać, choćby z tego względu, za jego ukochane dziecko.

Manzoni pisząc „Narzeczonych" miał jasno sprecyzowane poglądy religijne, polityczne i literackie. Jego katolicyzm pogłębił się znacznie. Charakteryzuje go wyraźny odcień jansenistyczny, jak to wykazuje źródłowa praca F. Ruffiniego: „La vita religiosa di Alessandro Manzoni" (Bari 1931, 2 t.). Wpływy jansenizmu sprowadzają się głównie do tego, że Manzoni specjalnie silnie uwypukla problemy moralne, aczkolwiek nie jest tak surowym sędzią słabostek i grzechów ludzkich, jak większość jansenistów. W dziedzinie politycznej Manzoni zdecydowanie wypowiada się po stronie swego narodu; zwalcza jako szkodliwe panowanie austriackie; sympatyzuje z postępowym ruchem liberalnym; ma zrozumienie dla sprawy społecznej, czemu daje wyraz stając po stronie uciskanego ludu przeciwko klasom uprzywilejowanym. Wreszcie — w dziedzinie literatury autor precyzuje swe stanowisko następująco: poezja i literatura powinny postawić sobie jako cel użyteczność, jako podmiot — prawdę, jako środek — to, co jest interesujące. Pełną realizację tych postulatów oraz dokładne odbicie stanu ducha i zapatrywań autora znajdziemy w formie artystycznej w powieści, o której mowa.

Na stosunkowo prostej kanwie Manzoni potrafił zmieścić szereg rzeczy, które stawiają jego powieść między arcydziełami literatury włoskiej, a także i światowej. Podziwiamy przede wszystkim umiejętne połączenie życia bohaterów z epoką. Postaci Manzoniego — to jednostki żywe, konkretne, mające własne oryginalne podejście do problemów życiowych. Epoka — to dokładnie wystudiowany obraz Lombardii początków wieku XVII pod panowaniem Hiszpanii. Przyjrzyjmy się najpierw charakterom ludzkim, później zaś — epoce, w której one żyły.

Należy zaznaczyć, że realizm Manzoniego łagodzi jednostronność przedstawienia bohaterów powieści. Nawet typ zdecydowanie ujemny, jak Rodryg, ma pewne wahania — słabe, ale niemniej istotne ślady wyrzutów sumienia; podobnie, jak i jednostka dobra, choćby Renzo, nie pozbawiona jest lekkiej próżności i chęci odgrywania ważnej roli, co widzimy podczas jego zachowania się w Mediolanie w momencie rozruchów.

Do postaci zdecydowanie pozytywnych zaliczamy przede wszystkim kardynała Fryderyka Boromeusza, brata Krzysztofa i Łucję, wraz z jej narzeczonym. Talent Manzoniego pozwala mu na odmalowanie różnych rodzajów dobroci, pokazanej w różnych okolicznościach na różnych postaciach. Arcybiskup Mediolanu jest prawdziwym kapłanem, którego zadaniem jest nieść pomoc potrzebującym i dawać świadectwo prawdzie. I trzeba przyznać, że robi to konsekwentnie, nie pomija żadnej sposobności, by skutecznie oddziaływać na ludzi. Jego autorytet moralny jest wielki, nie widzimy w nim jednak magnackiej dumy ani spoglądania na świat z pewną mimowolną może wyższością. Zbrodniczego Anonima traktuje z pobłażliwością i z miłością, ciesząc się szczerze z nawrócenia grzesznika. Słabego Don Abbondia traktuje wyrozumiale. Nie szczędzi mu nagany z powodu jego małoduszności, ale stara się wniknąć w jego ciężkie położenie spowodowane choćby tym, że pochodzi on z ubogiej rodziny, upośledzanej stale przez uprzywilejowanych ówczesnego świata. Dobroć i wyrozumiałość charakteryzują postępowanie Fryderyka Boromeusza, czyniąc z niego postać pod każdym względem sympatyczną.

Innego rodzaju człowiekiem jest brat Krzysztof. Był on za młodu gwałtownym i dumnym szlachcicem, w uniesieniu popełnił zbrodnię. Stało się to punktem zwrotnym jego życia. Wstępuje do zakonu, ćwiczy w sobie pokorę, choć czasem nie potrafi się opanować, jak to miało miejsce podczas wizyty u Rodryga, którego starał się skłonić prośbą i perswazją do poniechania złych zamiarów wobec Łucji. Gdy to mu się nie powiodło, mimo woli gwałtowny, surowy ton odżył w nim zresztą tylko na chwilę. Brat Krzysztof nie szczędzi wysiłku, by ulżyć doli biednych i upośledzonych przez ówczesne stosunki. Opiekuje się odważnie i serdecznie naszymi narzeczonymi. Jest on pobożny bez śladu dewocji. On to niemal w momencie śmierci zwalnia Łucję od ślubu czystości, uczynionego w momencie niebezpieczeństwa, by umożliwić jej poślubienie Renza. Z konieczności mniej efektownie wypada dobroć Łucji. Pozbawiona jest ona cech wielkości, które nie pasowałyby do jej charakteru kobiety. Jest to dziewczyna prosta, niewykształcona, lecz z natury obdarzona zdrowym rozsądkiem i wrodzonym poczuciem dobra i sprawiedliwości, podtrzymywanymi przez wiarę. W życiu codziennym — potulna i nieśmiała, w momentach niebezpieczeństwa potrafi się zdobyć na siłę woli i energię. Dodaje ona Renzowi otuchy w trudnych kolejach życia, łagodzi jego porywczość. Porwana przez Anonima — rozpacza, boi się, ale ani na chwilę nie dopuszcza myśli jakiegoś kompromisu kosztem swego honoru i zdecydowana jest raczej umrzeć niż splamić swe dobre imię. Łagodność połączona ze stałością powiększają jeszcze bardziej urok jej postaci.

Renzo jest z natury uczciwym i prawym człowiekiem. Miejsce wykształcenia zastępuje wrodzony spryt, pozwalający mu zorientować się w skomplikowanych nieraz sytuacjach. Jest on gwałtowny, podejrzliwy, ma skłonność do przechytrzania innych. Naiwność i lekka próżność stawiają go czasem w sytuacjach trudnych, jak to miało miejsce w Mediolanie, gdzie swej gadatliwości omal nie przypłacił więzieniem, a może nawet i życiem. Lecz i tu trzeba wziąć pod uwagę, że intencje jego były dobre. Postępowanie jego wypływało z solidarności z uciskanym i głodującym ludem Mediolanu.

A teraz przyjrzyjmy się postaciom ujemnym. Jest ich dużo. Najważniejsze z nich to Rodryg i Anonim. Rodryg jest typowym panem feudalnym, gwałtownym, nie znającym umiaru, o ile chodzi o jego dumę i zaspokojenie najrozmaitszych zachcianek, pełen pogardy dla klas niższych. Układny wobec możniejszych, jest on bezwzględny wobec słabszych. Terroryzuje on przy pomocy swych najemników całą okolicę, wyrządza dużo zła, nie wiemy natomiast nic o jego dobrych uczynkach. Manzoni odnosi się do niego z pogardą niemal. Koniec Rodryga jest nędzny, pada ofiarą zarazy i ginie wraz z tłumem pogardzanych przez siebie ludzi.

Anonim nie wywołuje takiego uczucia odrazy, jak Rodryg. Autor mówi nam, że był to wielki zbrodniarz, pokazuje go nam jednakże już w momencie kryzysu duchowego, na przełomie między dobrym i złym, stąd uwaga czytelnika skupia się na momencie zmagań wewnętrznych, jego przeszłość usuwa się natomiast w cień.

Ciekawą galerię typów pośrednich między dobrym a złym przedstawia nam autor z dużym talentem. Najbardziej charakterystyczny jest tu niewątpliwie Don Abbondio. Jest to postać raczej smutna niż zła. Zdaje on sobie sprawę z niesprawiedliwości i krzywd, które się dookoła niego panoszą. Potępia je, ale tylko w duchu. Brak mu siły charakteru, by stawić czoła szerzącej się fali zła. Autor charakteryzuje go następująco: „System jego polegał głównie na unikaniu wszelkich przeciwieństw oraz na ustępowaniu tam, gdzie nie mo-

GRACJAN KOZŁOWSKI

POWIEŚĆ O WIELKIM MALARZU

STARA to prawda, że nawet najlepiej napisana monografia, czy biografia jakiejś znanej z historii wybitnej postaci nie osiąga takiego powodzenia wśród najszerszych rzesz czytelników, jakim zwykle cieszy się powieść biograficzna (czyli tzw. vie romancée), oparta chociażby tylko na fragmentach życia niezwykłej w dziejach jednostki.

Któż z nas nie pasjonował się wydaną przed paru laty (nomen omen) „Pasją życia" Stone'a, opowiadającą — w sposób zresztą wysoce artystyczny — o tragicznych losach holenderskiego malarza Van Gogha? Czytelnik darowuje z góry autorowi takiej opowieści, która niejednokrotnie miesza prawdę z fikcją, pewne dowolności w ustawieniu wypadków chronologicznych, w rysunku psychologicznym odtwarzanego bohatera. Fascynuje go samo przybliżenie owej mało na ogół znanej postaci (chociażby w przypadku Gogha), którą dotychczas znał z suchych danych encyklopedycznych, czy też z lakonicznej notatki zamieszczonej przy reprodukcji obrazu.

Ukazała się ostatnio powieść biograficzna o innym wielkim malarzu — o Hiszpanie Francisco de Goyi (1746 — 1828)*). Z popytu, jakim się cieszy na naszym rynku ta pokaźnych rozmiarów książka niemieckiego pisarza Liona Feuchtwangera, należy wnosić, że „chwyciła" ona polskiego czytelnika tak samo, jak w swoim czasie „Pasja życia".

Oczywiście, poza tym, że poświęcona jest dziejom wielkiego malarza, nic ją z tamtą nie łączy. Inny tu klimat, inna epoka i jakże inna postać samego bohatera.

Długie, bujne i twórcze życie Goyi dzieli się wyraźnie na dwa okresy. Okres pierwszy — to dzieje błyskotliwej kariery tego chłopa z pochodzenia u dworu Karola IV — aż do rangi malarza nadwornego. Drugi — to owa „arge Weg der Erkenntnis", uświadomienie sobie swej specjalnej misji jako artysty-patrioty, genialnie odtwarzającego męczeństwo i bohaterstwo hiszpańskiego narodu w walce z najeźdźcą.

Goya — „Parasolka" (1777 r.)

Oczywiście jest to schemat uproszczony, bowiem nawet w okresie pierwszym, zwolna, ale zdecydowania, dokonywał się w Goyi proces walki wewnętrznej między układnym dworakiem a niezależnym artystą, między sfilistrzałym hedonistą, a świadomym swej potęgi twórcą. I jest rzeczą zrozumiałą, że syt zaszczytów, pieniędzy i miłości najpiękniejszych kobiet swego kraju doszedł Goya do momentu, w którym wyzwolony z tych jakże ludzkich żądz mógł oddać się u schyłku życia swej nowej, szlachetnej pasji odtwarzania scen z życia ludu hiszpańskiego, A życie to, dzięki nieudolnej polityce władców Hiszpanii z jednej strony, a imperialistycznej ekspansji Napoleona — z drugiej, nie było proste i łatwe.

Akcja powieści toczy się u schyłku XVIII wieku, a więc jeszcze w epoce feudalizmu, kiedy to Hiszpania znajdowała się w kleszczach specyficznej dwuwładzy — monarchii absolutnej i może bardziej od niej groźnej — inkwizycji, która, chociaż na swych sztandarach wypisywała imię Boga, w swych poczynaniach, w swym prześladowaniu i bezmyślnym tępieniu wszystkiego, co postępowe, gwałciła nie tylko przykazania boskie, ale i podstawowe prawa ludzkie. Ale lud Hiszpanii, zabobonny, ciemny i prymitywny, bał się „swojej" Sancta Harmandad, a zresztą, co tu ukrywać — zżył się z nią, dostarczała mu ona widowisk nie mniej mrożących krew w żyłach niż ulubione walki byków. Palenie „kacerzy" ściągało ogromne tłumy. Cóż stąd, że wśród tych „kacerzy" znajdowali się niejednokrotnie ludzie przeniknięci postępowymi ideami Oświecenia, którzy ginęli właśnie za to, że żądali poprawy bytu tego ludu i jego oświaty. Krewki lud Hiszpanii, przywiązany do swych obyczajów i tradycji wystąpił dopiero wówczas do walki, kiedy osadzono na tronie intruza z Francji, brata Napoleona, Józefa Bonaparte. Dzielni majowie, znosząc cierpliwie rządy swoich Karolów i Ferdynandów, wystąpili jak jeden mąż przeciw narzuconemu z Francji władcy, który nie był wcale gorszy od ich własnych satrapów. Znamy opisy zaciętej, nieustępliwej walki ludu hiszpańskiego z armią francuską — z „Popiołów". Powieść Feuchtwangera nie obejmuje już tego okresu, w którym jednocześnie twórczość Goyi przechodzi — pod wpływem wypadków w kraju — na zupełnie inne tory.

Ale powróćmy do samego utworu. Niezależnie od faktu, na który zwraca uwagę w swym interesującym posłowiu Jan Białostocki — że Feuchtwanger gwoli skondensowania akcji powieści poprzestawiał nieco chronologię poszczególnych wydarzeń życia Goyi, jak też daty powstania jego niektórych obrazów — niezależnie od tego powieść ta w sposób sugestywny i plastyczny ukazuje nieznaną dotąd szerszemu ogółowi sylwetkę Goyi, nie tylko jako genialnego artysty, ale jako zwykłego człowieka ze wszystkimi jego wadami i ułomnościami. Był zabobonny i niemoralny, był zmysłowy i zachłanny, tchórzliwy i służalczy; potem się zmienił — stał się odważny i niezależny, przeżyte lata i niezbyt umiarkowane życie (a może smutne dziedzictwo) odebrały mu słuch, stał się wstrzemięźliwy. Słowem, był zły i dobry, jak każdy człowiek. Ale ponadto był wielki. Jego dobre i złe uczynki skończyły się wraz z jego życiem. Ale jego wielkość, uwieczniona w dziełach — obrazach i grafikach — pozostała. I ona to jest przedmiotem naszego podziwu i naszego kultu dla mistrza Francisco. Książka ukazuje poza tym przyjaciół Goyi— malarza Augustina, który był jakby sumieniem artystycznym Francisca i bankiera Zapatera, przyjaciela z lat dziecinnych. Widzimy tu także interesującą postać przewrotnej, pięknej księżny Alba, która przez długie lata niepodzielnie panowała w sercu Goyi i niewątpliwie — jako owa „siła fatalna" — miała swój znaczny wpływ na bieg rozwoju jego twórczości.

Autor prowadzi nas również do rodzinnego domu Goyi, przedstawiając nam jego żonę Józefę i dzieci, które kochał na swój sposób i cierpiał, kiedy umierały. Józefa bolała zapewne nad miłostkami męża, ale godziła się z nimi, wychodząc z założenia — zgodnie z duchem epoki — że jej wielki mąż, jak przystało na popularnego malarza, nie może ograniczyć swego życia do ram rodzinnego ogniska.

O dużym opanowaniu znajomości przedstawionej w książce epoki świadczą znakomite obrazy z życia kamaryli hiszpańskiego dworu, Przesuwa się przed nami m. in. postać Manuela Godoya, pierwszego ministra i kochanka Marii Luizy, zręcznego dworaka, ale mniej zręcznego polityka, który znienawidzony przez lud musiał się w końcu ratować ucieczką przed jego zemstą. A oto Maria Luiza, Włoszka z pochodzenia, a z temperamentu krewniaczka Katarzyny II, jej ślamazarny mąż Karol IV i cała reszta rodziny królewskiej, którą z właściwą sobie maestrią oraz — co jest bardzo ważne — z doskonale ukrytą ironią odtworzył Goya w słynnym obrazie „Rodzina Karola IV",

Ciekawym szczegółem, zresztą podkreślonym silnie przez Feuchtwangera, jest fakt, że do przyjaciół Goyi zaliczali się nie tylko ludzie z otoczenia króla, ale z obozu zupełnie królowi obcego, a nawet wrogiego. Oto odwiedza go postępowy, a więc prześladowany przez rząd pisarz Jovellanos, młody poeta Quintana, opat don Diego, który miał na pieńku z samym Wielkim Inkwizytorem. Zarówno Maria Luiza, jak i zwalczany przez nią Jovellanos widzieli w Goyi człowieka, który swym talentem przerasta epokę, w której żyje. Tymczasem on sam, Francisco Goya, wił się jak piskorz między wpływami dworu, do którego ciągnęła go możliwość osiągnięcia wielkich zaszczytów, a wpływami swych śmiałych przyjaciół, którzy głosili prawdy, za które można było osiąść na stałe w lochach Świętej Inkwizycji.

Zwolna jednak, w miarę dojrzewania artystycznego, Goya - dworak przemienia się w nieubłaganego krytyka już nie tylko stosunków panujących na dworze, ale krytyka całokształtu ówczesnych stosunków społecznych. Nie ulęknie się nawet wezwania na przesłuchanie Inkwizycji, w następstwie wydanego przezeń cyklu rysunków „Kaprysy", które są punktem zwrotnym w twórczości Goyi.

W jednym z dalszych cyklów — w „Okropnościach wojny"—z krytyka przemieni się Goya w oskarżyciela rządów przemocy i gwałtu, rządów niesprawiedliwości i ucisku. Ale o tym już książka Feuchtwangera nie mówi. O dalszych losach życia Goyi i jego dziełach informuje nas wspomniane już posłowie Jana Białostockiego, znakomicie uzupełniające samą powieść, która ze względu na swą atrakcyjną tematykę, jak też dzięki temu, iż w nienużącej i przystępnej formie podaje sumę wiadomości o jednym z największych w historii malarstwa artystów, stanowi w dorobku PIW-u niepoślednią, pożyteczną pozycję.

Goya — Księżna Alby (1797 r.)

*) Lion Feuchtwanger — „Goya" Państwowy Instytut Wydawniczy. Posłowie pióra Jana Białostockiego. Warszawa. 1953. Stron 564.

żna było ich uniknąć. Bezbronna neutralność we wszystkich wojnach, które wybuchały dokoła niego, we wszystkich sporach, podówczas bardzo częstych między klerem i władzami świeckimi, między wojskowymi i cywilnymi, między szlachtą i szlachtą, a nawet w sporach między dwoma wieśniakami" (Rozdz. I). Don Abbondio sam mówił, że czuł się w ówczesnym społeczeństwie jak naczynie gliniane odbywające podróż wśród naczyń z żelaza. Don Abbondio jest więc smutnym przykładem upadku człowieka w społeczeństwie wieku XVII. Budzi on jednak więcej współczucia niż odrazy. — Podobnie ujemnym produktem ówczesnych stosunków jest inna postać, która jednakże budzi więcej pogardy niż współczucia. Jest nią prawnik-krętacz, doktor Szzecca-Garbugli. Jest to typ prawnika gmatwającego sprawy, interpretującego skomplikowane przepisy prawne w ten sposób, że zawsze wychodzą one na korzyść bogatych i potężnych, a na szkodę biednych. Autor ujął postać doktora groteskowo, każe mu się wyrażać żargonem prawniczym brzmiącym komicznie, ubiera go dziwacznie. Ta groteskowość zmniejsza w pewnym stopniu ujemne wrażenie, jakie wywiera on na czytelniku. Widzimy więc, że główne typy powieści są odmalowane realnie, z dużą wnikliwością; autor przedstawia nam zarówno ich pobudki działania, jak i samo działanie, zawsze w okolicznościach pobudzających nasze zainteresowania. Z konieczności pominąć trzeba szereg postaci epizodycznych, ale niemniej charakterystycznych i niemniej starannie odmalowanych, jak zakonnicę bez powołania, zwaną „Signora", która wydała Łucję w ręce Anonima; dalej — gospodynię Don Abbondia, matkę Łucji, pedanta filozofa Don Ferrante i szereg innych ożywiających wybitnie obraz ówczesnego życia Lombardii.

Już powyższy dobór postaci wystarczyłby, aby zapewnić powieści poczesne miejsce w historii literatury. Lecz dochodzą tu jeszcze inne walory, a mianowicie barwny obraz epoki. Wiek XVII w Lombardii nie pozbawiony był analogii z wiekiem XIX, ściślej mówiąc — z jego pierwszą połową. W jednym i drugim wypadku mamy panowanie obce. Manzoni odmalowuje nam zaniedbanie, w jakim pozostawiał kraj wicekról hiszpański. Celowo przymykano oczy na swawolę i gwałty możnych, by w ten sposób deprawować warstwy przodujące i gnębić szerokie masy ludu. Postać Rodryga i jego postępowanie w stosunku do Łucji możliwe były tylko na tle takich stosunków. Dalej widzimy zepsucie i hulaszcze życie ówczesnej szlachty, widzimy nadużywanie władzy ojcowskiej w stosunku do dzieci. Ofiarą jej padła między innymi Virginia de Leyva, którą Manzoni przedstawia jako tę osobliwą zakonnicę, która źle czując się w klasztorze, wylewa swą złość na innych. Ojciec zmusił ją do złożenia ślubów zakonnych, by zapewnić majątek swemu synowi. Dla splendoru rodziny poświęcano bez wahania szczęście własnych dzieci, przyczyniając się jednocześnie do obniżenia poziomu moralnego zarówno duchowieństwa świeckiego, jak i klasztornego. Kontrastem życia hulaszczego i upodlonego szlachty jest życie ludu prostego, który broni się w miarę możności przed tyranią uprzywilejowanych, a gdy cierpi — to cierpi z godnością. Gdy miara jest przebrana, lud ten porywa się do walki, która nie ma widoków powodzenia: brak jej zarówno kierownictwa, jak i planu. Obok więc życia codziennego, obok szeregu epizodów przedstawiających nam drobne, choć bardzo charakterystyczne aspekty ówczesnego życia, Manzoni odsłania nam również kataklizmy, które zakłócały normalny bieg życia. Wówczas ton zmienia się. Zamiast łagodnej ironii, zamiast pogody czy nastroju smutnego, elegijnego, autor wydobywa akcenty tragiczne, walkę człowieka ze złem, które go przewyższa, klęski żywiołowe, które dezorganizują życie, a jednocześnie dopomagają do rozbudzenia zarówno najniższych, jak i najszlachetniejszych instynktów człowieka. Czyni to Manzoni, gdy opisuje okropności wojny o sukcesję mantuańską, czyni to pokazując nam obraz rozruchów głodowych, czyni to przede wszystkim — opisując zarazę, która szerzyła zniszczenie i naruszała normalny bieg życia. Obraz zarazy przypomina nam sławny opis podobnej klęski, która nawiedziła Florencję w 1348 roku, a którą opisał Boccaccio. Manzoni zwraca uwagę na tragedie jednostek i całych rodzin, na bezradność władz hiszpańskich. Manzoni odtwarza życie Mediolanu gnębionego epidemią, umiejętnie dobierając takie epizody, które grozę i beznadziejność sytuacji uwydatniają z wyjątkową siłą sugestii. Wystarczy przeczytać zwłaszcza rozdziały XXXIV i XXXV, by się o tym przekonać. Renzo wraca do miasta i nie poznaje dawnego Mediolanu. Wszędzie pogrzeby, wszędzie domy pozamykane, na ulicach prawie nie widać ludzi; jeżeli czasem pojawi się rzadki przechodzień, to idzie szybko, unikając kontaktu z innymi ludźmi. Ówczesna medycyna była wobec zarazy bezsilna, stąd przesądy szerzyły się zastraszająco. Manzoni piętnuje obskurantyzm, potępia wiarę w t. zw. „untori", czyli ludzi zatruwających domy przy pomocy rozmaitych maści, ławki w kościołach, studnie itp. Jednakże i ten ponury obraz rozjaśniają epizody bohaterstwa i poświęcenia dla innych. Renzo widział rodziny towarzyszące swym najbliższym do szpitala, dodające odwagi chorym. Widział pracę brata Krzysztofa, zrozumiał znaczenie miłości bliźniego i solidarności ludzkiej. W obliczu śmierci zapomina o dawnych krzywdach i modli się szczerze o zbawienie duszy konającego Rodryga, spotkanego w szpitalu.

Autor łagodzi grozę obrazu wprowadzeniem komicznych epizodów. Poczciwy i raczej sympatyczny pedant, filozof Don Ferrante, nie wierzy w istnienie zarazy i logicznie udowadnia, że zaraza istnieć nie może. Nie może ona być ani substancją, ani faktem zewnętrznym, czyli w ogóle nie istnieje. Ta ironia skierowana pod adresem dawnych arystotelistów i scholastyków wszelkiego rodzaju jest przykładem nie jedynym zresztą, subtelnej, choć niezłośliwej ironii Manzoniego (rozdz. XXXVII). Podobnie jak Boccaccio, autor „Narzeczonych" jest wybitnym realistą, który nie zamyka oczu na smutne i ujemne strony życia, który odtwarza przebieg zarazy w oparciu o fakty stwierdzone historycznie.

Weźmy teraz przykład z innej dziedziny: rozruchy w Mediolanie. Można powiedzieć, że Renzo nie miał szczęścia do tego miasta. Ile razy zjawiał się w nim, zawsze działo się coś niezwykłego, zawsze czyhało na niego niebezpieczeństwo. Manzoni studiuje tu psychologię tłumu doprowadzonego głodem do rozpaczy i na tym tle pokazuje sposób myślenia i reagowania swego bohatera na wypadki. Wzrastające niezadowolenie dojrzewa do wybuchu. W dniu poprzedzającym wybuch rozruchów: „...Tysiące ludzi położyło się do łóżka z nieokreślonym bliżej uczuciem, że coś trzeba zrobić, że coś się zrobi" (rozdz. XII). W tych okolicznościach wystarczyła mała iskra, by doprowadzić do katastrofy. To wszystko opisuje Manzoni w sposób jasny, przekonywający, podkreślając ślepy instynkt tłumów, które żądają sprawiedliwości, oraz obłudę i tchórzostwo władz hiszpańskich, chcących uśpić czujność ludu mediolańskiego, a później krwawo stłumić rozruchy. Renzo omal nie padł ofiarą tej taktyki, na szczęście tłum uwolnił go z rąk hiszpańskich.

Manzoni potrafi nie tylko odtworzyć sceny życia zbiorowego. Nie mniej ciekawe są sceny z życia codziennego ludzi prostych, utrzymanych czasem w tonie sielanki, czasem owiane łagodnym smutkiem, zawsze jednak otoczone sympatią autora dla biednych i dla dobrych, niechęcią — dla złych. Przykład życia rodzinnego ludzi prostych, uczciwych, widzimy choćby w opisie rodziny krawca, u którego Łucja znalazła gościnność (rozdz. XXIV) lub życia filozofa Don Ferrante i jego żony (rozdz. XXVII). Oczywiście, podobnych przykładów można by jeszcze zacytować bardzo dużo. Manzoni interesuje się wszystkimi warstwami społecznymi, umie wybrać cechy charakterystyczne każdej z nich, tak że w sumie „Narzeczeni" dają nam obraz życia ówczesnej Lombardii, zarówno miasta, jak i wsi.

Manzoni dał Włochom romantycznym powieść, jakiej dotąd nie widziano. Pokazał nam życie rzeczywiste, realne, widziane oczami artysty, który umie wydobyć jego cechy charakterystyczne, bohaterskie, bez zniekształcania rzeczywistości; dał ponadto powieść będącą odbiciem ideałów etycznych i społecznych autora. W epoce odrodzenia życia religijnego położył specjalny akcent na wartość moralną człowieka, wyraźnie potępiając czyny nieetyczne, protestując przeciwko brakowi moralności. Aspekt moralny „Narzeczonych" — ustawiczny pojedynek dobra i zła — stanowi nutę przewodnią powieści. W okresie walki Włoch o niepodległość przedstawił ponury obraz panowania obcego, wykazując, że jedynie wolny naród może się szczęśliwie rozwijać. W epoce rozpoczynającej się walki klas społecznych Manzoni zwrócił uwagę na niesprawiedliwość wynikającą z uprzywilejowania warstw ujemnych moralnie, żyjących kosztem innych, podkreślając jednocześnie słuszność aspiracji ludzi upośledzonych społecznie. Autor nie ukrywa, że jego sympatie są po stronie tych ostatnich. Manzoni głosi zasady miłosierdzia chrześcijańskiego, ale miłosierdziu towarzyszy sprawiedliwość, dzięki której winowajcy prędzej czy później ponoszą zasłużoną karę. Mówiono o pesymizmie Manzoniego, lecz nie wydaje się to słuszne. Zasadniczo przeważa optymizm. Po całym szeregu trudności Łucja i Renzo osiągnęli swój cel, dobro zatriumfowało nad złem. Niemniej jednak faktem jest, że nuta melancholii widoczna jest w powieści. Autor wierzy w Opatrzność, w jej opiekę nad człowiekiem, ale nie może oprzeć się smutkowi na widok tylu cierpień ludzi niewinnych, nie może ukryć swego smutku na widok uprzywilejowania na tym świecie jednostek i grup pod żadnym względem na to nie zasługujących. Bogactwo charakterów, świetnie odmalowane tło epoki, realne ujęcie życia i człowieka, lekka, ale dowcipna ironia, różnorodność opisów — oto główne zalety „Narzeczonych", obok walorów etycznych, obok momentów patriotycznych i społecznych. Logiczna konstrukcja, polegająca na zwartości opowiadania, bez niepotrzebnych ubocznych epizodów, piękno języka, któremu autor poświęcił specjalną uwagę, powiększają jeszcze wartość powieści Manzoniego. Wyprzedza ona inne powieści włoskie. Ani D. Azeglio ze swymi powieściami historycznymi, ani Cantu, ani Grossi czy tez Nievo nie mogą się równać z Manzonim. Silvio Pellico i jego wspomnienia z więzienia austriackiego są również cennym przejawem narracji włoskiej tego okresu, lecz chodzi tu nie o powieść, a raczej o coś w rodzaju pamiętnika. Manzoni zrealizował w całej pełni swój postulat literacki, o którym była mowa poprzednio. „Narzeczeni" są utworem pożytecznym dzięki walorom etycznym, dzięki rozszerzeniu horyzontów literackich; są utworem interesującym dzięki nowej technice powieściowej; prawdziwym — dzięki temu, że pokazują prawdziwe życie i prawdziwego człowieka.

Kalikst Morawski

JERZY OLKIEWICZ

Protest

MALEWICZ rysował na ciemnym tle białe kwadraty. Zręcznie umieszczone na płaszczyźnie obrazu, chytrze operujące mechaniką proporcji i mniej lub bardziej złotych podziałów, miały sugerować niewyrażalne przeżycia i być emocjonującą intelektualną szaradą. Były szaradą, ale nie emocjonującą. Intelektualista i matematyk holenderski, malarz Mondrian, stworzył swoistą metafizykę prostych linii. Wykonanie malowidła przedstawiającego pięć czy sześć przecinających się prostopadle kresek wymagało wielkiego umysłowego wysiłku i matematycznej wiedzy. Każdy obraz był traktatem na temat geometrii wykreślnej. Powinien jednak być pokazywany matematykom a nie odbiorcom sztuki. Subtelna inteligencja potrzebna do jego kontemplacji była dużo mniej powszechna od uczucia i emocji związanych z odbiorem sztuki. Konsument poszukiwał treści przedmiotu i z naiwną radością odkrywał w tłumie kresek, kwadratów i trójkątów w obrazach Braque'a czy Grisa — fragment gitary albo wąsik torreadora. To była nić Ariadny w labiryncie artystycznych wrażeń. Na każdą nową edycję malarskich subtelności, niewyrafinowany odbiorca opowiadał krzykiem protestu i żądaniem zrozumiałości, czytelności obrazu. Obraz miał być konkretny, miał przedstawiać grupę ludzi, konia, czy pejzaż a nie kilka wielokątów z podpisem „Kompozycja nr 204" czy „Stukot pędzących pociągów". Gorzej, gdy odbiorca obdarzony drobnomieszczańskim smakiem, zażądał pejzażu z wrzosami, samotną brzozą i z mgłą unoszącą się znad pól, a na końcu radby widzieć dziarskiego, wąsatego ułana z lancą i szabelką.

Ten głód, który u zasiedziałego na swojej pluszowej kanapie mieszczanina wyraża się potrzebą odpowiadających klimatowi kanapy tematów malarskich, w sytuacji społecznej w zdecydowany sposób ograniczającej demokratyczne swobody i legalizującej wyzysk i nędzę prostego człowieka, wytwarza potrzebę sztuki zaangażowanej politycznie, protestującej przeciwko lansowanej artystycznej bezideowości. Obrońca praw upośledzonych, postępowy artysta, walczy o społeczne ideały, ukazuje krzywdę i protestuje przeciw bezprawiu.

Wystawę prac takich artystów oglądamy w tym miesiącu w Zachęcie. Prace graficzne nadesłane z piętnastu krajów kapitalistycznych reprezentują rozmaite techniki i bardzo niewyrównany poziom — wspólną ich cechą jest próba przełamania konwenansów bezideowej sztuki i walka o humanistyczną treść. Rezultat tej walki jest niejednolity: obok ostrych, ciętych prac o silnym ładunku emocjonalnym (np. w grafice belgijskiej, włoskiej, południowo-amerykańskiej) jest wiele słabych, anemicznych obrazków, operujących umowną formą. Przez te raptowne skoki i ogromną rozpiętość talentów wystawa bardzo traci, a napięcie widza oglądającego ją jest często rozładowane kubłem letniej wody.

Trudno na podstawie zebranych tutaj, nierzadko przypadkowych prac, sądzić o całej twórczości artystów biorących udział w tej wystawie — często reprezentuje ich tylko jedna praca. Dobrze się jednak stało, że niedawno widzieliśmy świetny pokaz rysunków Kulisiewicza i na tle obecnej wystawy widać, jak poważne stanowisko zajmuje nasz grafik pośród współczesnych postępowych artystów.

Wystawa pozwala rozróżnić kilka wyodrębniających się stylistycznie grup grafiki, uprawianych w poszczególnych krajach. Znana u nas grafika włoska reprezentowana jest przez kilka typowych poprzez swój rozmach prac; duży, plakatowy w charakterze, rysunek węglem Mirabella „Naród żąda pokoju i pracy", piękna, szeroka kompozycja Cappelli — „Deportowanie Kreańczyków", „Zbiory ryżu" Zancanaro, w której walor potraktowany jest w sposób zbliżony do niektórych rysunków chińskich Kulisiewicza. Wyodrębniają się charakterem drzeworyty meksykańskie, prace Mendeza i Beltrana, dosadne, dynamiczne, o „płomienistej" fakturze. Niespodzianką jest grafika norweska, bo ten — zdawałoby się — bezsłoneczny i szary kraj pokazuje barwne, żywe w kolorach drzeworyty — jedyną grupę prac na wystawie, w których kolor odgrywa integralną rolę. Pokrewne stylistycznie prace Paula Gaugin (imiennika wielkiego malarza) i Henryka Finne noszą silne piętno francuskiego malarstwa. Zwłaszcza „Portret dziewczyny" Gaugina kojarzy się z portretami Pignona. Grafika francuska jest najbardziej zróżnicowana w swym charakterze i poziomie artystycznym. Duży, piękny rysunek tuszem Picassa „Młodość", przedstawiający dwie dziewczyny trzymające gołębia, monumentalny, o rzeźbiarskim, uproszczonym modelunku twarzy, wisi nieopodal tanich, niepoważnych rysunków Cachin - Signaca i prac Amblarda — dziesiątej wody po van Goghu. Subtelne rysunki ołówkiem de Gallarda — wrażenia z pobytu w Polsce — obok ostrych, silnych w wyrazie, satyrycznych litografii Lorjou, niedwuznacznie wzorujących się na grafice Goyi. Schematyczna, prymitywna kompozycja Legera kontrastuje z delikatnie rysowanym pejzażem Singera.

Holandia jest najliczniej reprezentowana na wystawie. Zwracają uwagę precyzyjne akwaforty Schotela („Betoniarka", „Dźwigi portowe") ostre walorowo litografie Bayensa („Bydło", „Robotnicy portowi") i rysunki Landkroona i Latastera („Powodzianie"). Najciekawszy przedstawiciel belgijskiej grafiki, to grupa „Forces Murales". Cztery jej prace o aktualnej tematyce społecznej („Wojnie mówimy nie", „Nigdy tego więcej") są drapieżne, dosadne w wyrazie, a ich ekspresyjność nawiązuje do tradycji wielkich satyryków — Goyi i Daumiera. Grafika angielska nie wyróżnia się niczym szczególnym. Angielski drzeworyt jest konwencjonalny a znane w Polsce rysunki Hogartha, zręczne i reportażowe, mają na wystawie poważną graficzną konkurencję. Z Niemiec zachodnich i Stanów Zjednoczonych nadesłano dużą ilość prac nie zawsze na należytym poziomie artystycznym. Z Niemców wyróżnia się May („Publiczna egzekucja w Kolonii", „Nalot na dworzec Hagen") i rysunki Koruhasa. Amerykańska satyra, to przede wszystkim Gropper, Argentyńczyk Vigo w paru akwafortach („Kaprys hiszpański", „Egzekucja") ujawnia silnie tradycyjne hiszpańskie zamiłowanie do makabry. Spośród plastyków brazylijskich zwracają uwagę drzeworyty Reniny Katz, mocne w walorze, dobitnie piętnujące nędzę upośledzonych warstw w tym kraju. Dwie prace Portinariego to niezbyt szczęśliwie wybrany przykład grafiki tego znanego malarza, nie ukazujący w pełni jego talentu ani możliwości twórczych. Nie on jeden zresztą jest niedostatecznie i trochę przypadkowo tutaj reprezentowany. Zorganizowana jednak wystawa, ambitna w swym założeniu, daje niezupełny wprawdzie, ale dobitny obraz twórczości zachodnich artystów, protestujących przeciwko krępującemu ich ustrojowi.

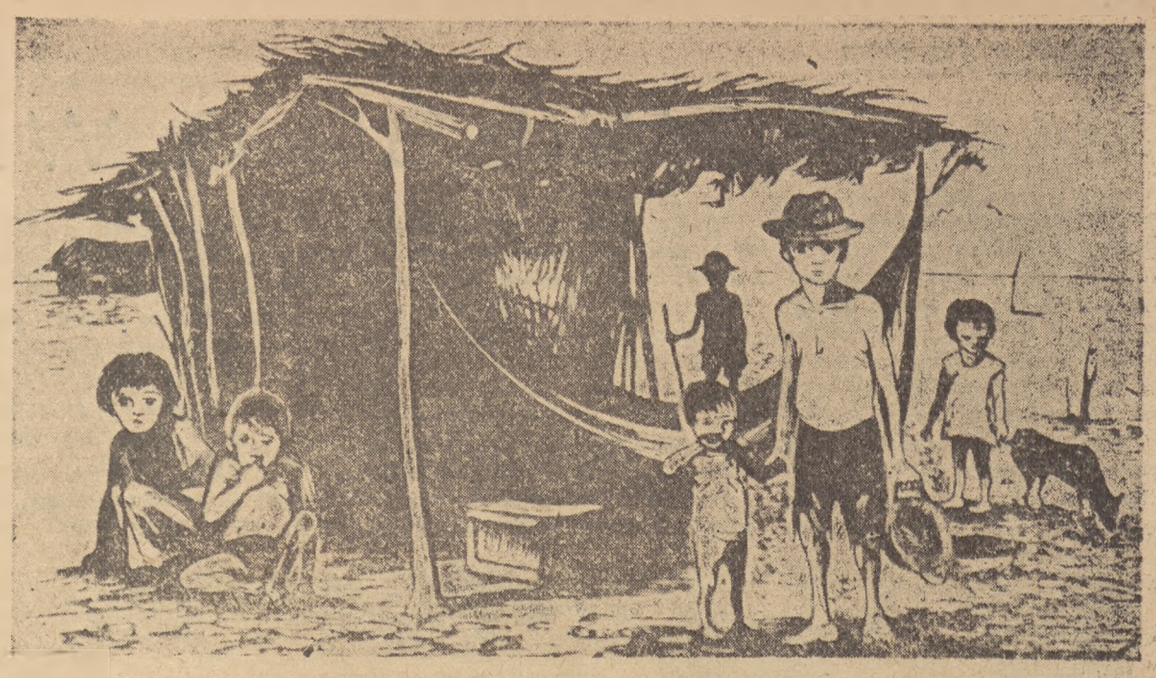

Renina Katz (Brazylia) — Dzieci brazylijskie tak żyją

Henryk Finne (Norwegia) — „Jeden za dużo"

LUCYNA OSIEWALSKA

PRÓBY ODBYWAJĄ SIĘ CODZIENNIE

Kurtyna zapadła.

Lecz oto od widowni odrywa się niewielka postać trzynasto lub czternastoletniego chłopca, który biegnie ku rampie, rozsuwa kurtynę i z trudem wdrapuje się na scenę. Wreszcie staje i z rękoma w kieszeniach szybko mówi do Karola Sonki:

— Ale pan fajnie powiedział temu kapitaliście! Dobrze mu tak!

Huragan oklasków zagłusza dalszą rozmowę. Tak zareagowali mieszkańcy Janowic Wielkich na przyjazd wiejskiego zespołu scenicznego ze Szklarskiej Poręby ze sztuką Apuszkina pt. *Armia Pokoju.* — Potem jeszcze długo rozlegały się proszące okrzyki:

— Przyjeżdżajcie częściej! Przyjeżdżajcie...

Nic dziwnego, że radziecka sztuka podobała się widzom w wielu miasteczkach i wsiach, do których przyjechał amatorski zespół ze Szklarskiej Poręby. Obrazuje ona strajk dokerów przy wyładunku broni do walk w Wietnamie. Pilot portu, Piotr Helst, pozornie zgadza się przeprowadzić statek z bronią do portu, lecz po drodze zatapia go. Zatopiona broń nie zostanie już użyta dla celów „brudnej wojny".

Rolę Piotra Helsta grał właśnie Karol Sonka, który spotkał się z tak nieoczekiwanym entuzjazmem ze strony przedstawiciela najmłodszych widzów.

PIERWSZE CZYTANIE

Co chwila otwierają się drzwi świetlicy — wchodzą członkowie zespołów artystycznych i ich sympatycy. W głębi na deskach małej scenki — ruch. Ktoś wnosi stół, ktoś inny wertuje egzemplarz nowej sztuki, którą bierze „na warsztat" zespół sceniczny. Dzisiaj będzie pierwsze czytanie.

Anka ma duże, trochę smutne oczy. Spod zgrabnej, narciarskiej czapeczki wymykają się niesforne czarne loki. Do Szklarskiej Poręby przybyła parę miesięcy temu z małej wioski pod Rzeszowem. Początkowo bardzo tęskniła do rodziny, chodziła smutna, a jej duże oczy często zachodziły łzami. Wreszcie ktoś powiedział jej: „Przyjdź, Anka, na naszą próbę..." Przyszła. I od tej pory amatorski zespół zastąpił jej rodzinę, a na twarzy Anki wykwitł radosny uśmiech.

Oprócz Anki zaczęły świetlicę odwiedzać inne dziewczęta. Grażyna Kozulska, kelnerki: Bator i Gnacy, praczka Wełłyszko... Praca w zespołach artystycznych porwała je. A każda z nich w graną przez siebie rolę wkłada cały żar swej młodości tak, jak Anka.

Nierzadko do świetlicy FWP przyjdzie „bikiniarz", a nawet zjawi się i miejscowy chuligan. Zwabią go czasem jasno oświetlone okna dużej świetlicy, barwne stroje, gestykulujący na scenie ludzie i gwar głosów. Niejeden zostanie już w świetlicy. Wielu z nich bowiem nosi w sobie głęboko skryte marzenia: zostać sławnym aktorem, muzykiem, tancerzem...

Ale aby należeć do zespołu teatralnego, tanecznego, czy recytatorskiego, trzeba prawie codziennie przychodzić na próby, a potem zostać „wędrownym aktorem", jeździć lub chodzić do odległych niejednokrotnie wsi, gdzie zespół wystawia swe sztuki i występuje z tańcami ludowymi oraz recytacjami. Wreszcie chłopak godzi się z pozorną rezygnacją i na to. Styka się z ludźmi, którzy pragną piękna i wzruszeń artystycznych, darząc za to „komediantów" uczuciem przyjaźni. Powoli z głębi młodego serca zaczyna się budzić uczucie dla tych ludzi z sąsiednich wiosek, przed którymi występuje na skleconej z desek scence lub wręcz na świetlicowej podłodze.

Zespół artystyczny w Szklarskiej Porębie powstał niedawno. Dokładnie: 7 listopada ubiegłego roku, jako Czyn Październikowy podjęty dla uczczenia 35 rocznicy Wielkiej Rewolucji. Zespół dzieli się na trzy grupy: teatralną, taneczną i recytatorską, łącznie — ponad 60 uczestników. Dał jedenaście występów wyjeżdżając do sąsiednich wsi i spółdzielni produkcyjnych w Szklarskiej Porębie, do Janowic Wielkich, do Sosnówki, do Karpnik...

A publiczności zawsze więcej, aniżeli mogła pomieścić świetlica. I zawsze prośby: „Przyjeżdżajcie, przyjeżdżajcie jak najczęściej". Obecnie zespół nie prowadzi żywota „koczowniczego", siedzi w Szklarskiej Porębie i przygotowuje się do eliminacji związanych z obchodem dziesięciolecia Polski Ludowej. Po eliminacjach, gdy już stopnieją śniegi i łatwiej będzie do innych wsi dojechać, wszystkie grupy ruszą znowu „w teren".

Do naszych „amatorów" dołączyła się także orkiestra FWP, która pod batutą Tadeusza Andrzejewskiego i kierownictwem technicznym Mariana Schindlera pracuje społecznie wyjeżdżając ze swym programem do innych wsi razem z zespołem artystycznym. Pracą całego zespołu amatorskiego kieruje Michał Sabatowicz będący jednocześnie reżyserem i kierownikiem artystycznym grupy teatralnej; grupę taneczną prowadzi Kazimiera Jelonkowa, a recytatorską — Janina Wenta.

Od czasu powstania zespół rozrósł się i zatętnił żywym rytmem pracy. Świadczyć może o tym chociażby fakt codziennych prób, na które przychodzą na zmianę to „aktorzy", to „tancerze", to „recytatorzy". Nikt już tego specjalnie nie pilnuje, po prostu wszyscy uważają, że roli trzeba się dobrze nauczyć, a taniec pilnie ćwiczyć, aby potem dobrze zagrać i ładnie zatańczyć na wiejskiej scenie.

Teraz zespół teatralny przygotowuje do eliminacji sztukę w czterech aktach Ostrowskiego „*Do wójta nie pójdziemy!*" Jak na młody jeszcze zespół — śmiałe to przedsięwzięcie. Ale ambitni „aktorzy" są pewni, że — podobnie, jak i z poprzednich pozycji scenicznych, tak i z tej — dobrze się wywiążą. Najpierw były próby analityczne, przy czym każdy amator przedstawiał swoją postać sceniczną, opowiadał o niej, dyskutował... Dziś jest pierwsze czytanie. I potem dalsze próby czytane, aż do prób sytuacyjnych.

— Wolniej, troszkę wolniej, a za to z większym uczuciem — poprawia kogoś reżyser.

Mrok zapada na dworze. Nad egzemplarzem sztuki pochylają się głowy amatorów ze Szklarskiej Poręby. Teraz czytają — potem wystąpią na scenie.

MACIEK ODCHODZI!

Z takim okrzykiem wpadli do świetlicy, aby donieść kierownikowi i reszcie kolegów. Maciek, „filar" zespołu teatralnego, czołowa rola w przygotowywanej do eliminacji sztuce Ostrowskiego.

Ogólna konsternacja. Jak to? Co mu się stało?

Jest i on.

— Co to, Maciek, odchodzisz? Po tym wszystkim, cośmy razem zrobili, i przed tym, co mamy jeszcze zrobić, zostawiasz nas? Co się stało?

Maciek wzrusza ramionami. Odchodzi. Ma dosyć tego całego kramu. I tych nieustannych uwag reżysera. Takim reżyserem to i on może być. Nie pierwszy raz na scenie występuje. On chce grać tak, jak on chce. Właśnie tak, a nie inaczej. Nie tak, jak chce stary Sabatowicz! On ma swój system gry.

Gorąca, namiętna mowka Maćka zwabiła w krąg resztę członków zespołu. Każdy chce dodać coś od siebie. Każdy chce Maćka przekonać. Ale ten ponownie wzrusza ramionami i oświadcza, że ma swój sąd, że dyskusji nad „jego sprawą" nie życzy sobie.

Chce odejść człowiek, któremu w życiu się nie powiodło. Załamał się. A przecież w zespole oceniono jego wysiłki, liczono się z jego zdaniem. Mimo życzenia Maćka, wszyscy żywo dyskutują i starają się go przekonać.

— Macieju, opamiętaj się...

— Maciek, pamiętasz...

— Słuchaj, przecież zawsze byliśmy razem...

Już zarysowują się dwa fronty. Po jednej stronie buntowniczy Maciek, a po drugiej reszta zespołu — nie przeciw Maćkowi, ale w stronę Maćka. Przekonują, perswadują, przypominają, mówią wszyscy. Wszyscy, którzy zespół stworzyli, którzy wyrzekli się dlań wielu przyjemności, snu i wypoczynku, którzy nieraz trudzili się ponad miarę.

Nie od razu Maciek dał się przekonać. Odszedł zły, ale niespokojny. Przez trzy dni nie pokazał się w świetlicy. Ale czwartego już na próbę przyszedł.

DO ELIMINACJI

W marcu odbędą się w Jeleniej Górze powiatowe eliminacje świetlicowych zespołów amatorskich — teatralnych, tanecznych i recytatorskich. Ze Szklarskiej Poręby wysłano już na eliminacje zgłoszenia, a zespoły wzięły się do pracy.

Bieżący bowiem rok, rok dziesięciolecia Polski Ludowej postawił przed amatorskim ruchem teatralnym poważne zadania. Biorąc udział w uroczystych obchodach i masowych imprezach, których widownią będą sceny teatrów, domów kultury i świetlic, oglądać będziemy wyniki pracy setek i tysięcy zespołów, które już od tygodni i miesięcy przygotowywały się, aby godnie powitać wielką rocznicę. Wśród tysięcy innych wystąpi wiejski zespół sceniczny ze Szklarskiej Poręby wraz z Maćkiem, Anką, Grażyną Kozulską, Wacławem Marcinkowskim i innymi amatorami.

Przygotowania do obchodów Dziesięciolecia objęły już tysiące wiejskich zespołów artystycznych. Ta masowość pozwala na optymizm, rokuje rozwój dorobku artystycznego.

Po eliminacjach powiatowych przyjdą wojewódzkie. „Aktorzy" ze Szklarskiej Poręby pragnęliby oczywiście wystąpić i na deskach Wrocławia, ale nie dlatego tylko tak pilnie pracują nad swym repertuarem. Chcą mieć dobry program „na potem", aby z nim ruszyć na jeleniogórską wieś, do bratnich świetlic.

ŚWIETLICA

W małym pokoiku przy świetlicy FWP kierownik zespołu artystycznego układa razem z kierownikiem poszczególnych grup plan zajęć. Kazimiera Jelonkowa, kierowniczka zespołu tanecznego, proponuje wzięcie „na warsztat" inscenizacji radzieckiego tańca *Katiusza*, potem jeszcze ze dwa tańce ludowe, polkę charakterystyczną *Trójka murarska* i *Taniec Pokoju*, wykonywany przez Marię Kunertową. Pewne zastrzeżenia wywołuje w kolektywie ostatnia pozycja — *Taniec Pokoju.* Trzeba jeszcze będzie dokładnie omówić wszystkie szczegóły z wykonawczynią.

Grupa recytatorska przygotowuje recytacje zbiorowe, opierając się na tekstach Władysława Broniewskiego, Włodzimierza Majakowskiego, Andrzeja Mandaliana. Grupa teatralna ma już role rozdane, próby trwają.

Teraz trzeba ułożyć jeszcze dokładny terminarz zajęć i wyjazdów do sąsiednich wsi. Pod rozskakanymi literami w terminarzyku, stawianymi w pośpiechu, czerni się kilkanaście nazwisk wykonawców. Wielu z nich służy radą i pomocą innych okolicznym zespołom wiejskim, pomocą nie bardzo jeszcze fachową, lecz za to bardzo serdeczną.

Duża jest siła oddziaływania zespołu artystycznego. Niejedno chłopskie dziecko oczarowane dźwiękami gitary, na której tak ładnie grał Marian Schindler, lub fortepianiu, z którego już tyle umiał wydobyć Jerzy Grajewski, trafiło do świetlicy i tam uczy się gry. Może kiedyś młody wiejski chłopak — ten sam, który czarne znaki nut poznawał od przypadkowego nauczyciela w wiejskiej świetlicy trafi do konserwatorium i zostanie wielkim pianistą?

Zespół artystyczny w Szklarskiej Porębie nie zamyka swej pracy w czterech ścianach świetlicy. Ich świetlica ma szerokie ściany. Ze swą pracą zespół wychodzi na zewnątrz — do ludzi z sąsiednich wiosek. I to jest jedną z najważniejszych rzeczy — zespół pracuje nad sobą dla wielu innych ludzi, dla takiej widowni, jaka była np. w Janowicach Wielkich, gdzie każdy widz przeżywał akcję sztuki, przejmował się nią, wzruszał...

Próby odbywają się codziennie. Codziennie jakiś zespół w świetlicy ćwiczy nowy taniec, nową recytację, przygotowuje nową sztukę. Próba trwa nieraz godzinę, dwie, czasem — trzy.

Z niezasłoniętych okien świetlicy bije światło. Jasne, wesołe światło umiłowania dobrej sztuki. Światło, które rozprasza ponure cienie dawnego zacofania naszej wsi.

Komunikat w sprawie konkursu literackiego „Dziś i Jutro"

Na prośbę wielu uczestników ogłoszonego przez nasze pismo konkursu literackiego „Na drogach ku Polsce Ludowej" zdecydowaliśmy się pierwotny termin zamknięcia konkursu **przesunąć do 15 kwietnia 1954 roku.**

Jednocześnie wyjaśniamy, że uczestnikiem ogłoszonego przez nas konkursu może być **każdy czytelnik naszego pisma.**

Korzystając z okazji przypominamy, że dokładne warunki konkursu podawaliśmy w nr 3 (425) z dn. 17.I.1954 r.

Redakcja

ELŻBIETA ANNA REISZ

NOTATKI O FILMIE WŁOSKIM

Z PRAWDĄ NA TY...

W ostatnim artykule tego cyklu, poświęconego omówieniu włoskiej produkcji filmowej w latach 1945 — 1948, przeprowadzałam tezę o powiązaniu rozwoju istnienia neorealizmu z wynikami współczesnych walk społecznych. Obecnie tezę tę chciałabym ugruntować argumentacją, jakiej dostarcza drugi okres rozwoju włoskiego filmu neorealistycznego w latach 1949—1953.

Kwietniowe zwycięstwo chadecji w wyborach 1948 r. nie długo kazało czekać na rezultaty. Powolna, ale ustawiczna i niesłabnąca penetracja włoskiego rynku filmowego przez kapitał amerykański, prowadzona początkowo pod płaszczykiem planu Marshalla, wydawała pierwsze plony. Koła rządzące dały wyraz oficjalnej polityce na Biennale 1949 r., wieńcząc laurami naturalistyczny film hagiograficzny „Niebo nad bagnami", zrealizowany przez barda rozbojów Duce — Augusto Geninę. Neorealistyczny film włoski, wyrosły na bazie antyfaszystowskich nastrojów, wyraźnie nie odpowiadał założeniom programowym chrześcijańskiej demokracji. Pierwsze uderzenie, przeprowadzone przez chadecję, odbiło się głośnym echem klęski na międzynarodowych festiwalach filmowych w latach 1948—1949. Ale prawicowa prasa i krytyka filmowa, zamiast analizować te błędy, biła w dzwon rozpaczy, że wprawdzie reżyserzy nie pozbawieni są talentu, ale kompromitują ojczyznę pokazując Włochy, jako kraj nędzarzy, bezrobotnych, rozbitków życiowych. Proponowano gładkie recepty i w ślad za nimi ponętne oferty. Stery tej polityki spoczywały w rękach dostatecznie „fachowych". Pojawił się ponownie na widowni potentat faszystowskiej kinematografii, Gualino, i objął w Prezydium Rady Ministrów stanowisko sekretarza do spraw kinematografii. W sukurs w latach późniejszych przybył poseł, Andreotti. Faszystowski dziennikarz, Petrucci, objął kierownictwo Biennale. Inni usadowili się w zarządach wielkich firm produkcyjnych. Oczywiście nie próżnowali i Amerykanie, którym sprawa powodzenia filmu włoskiego była jak najmniej na rękę. Pozbycie się najgroźniejszego konkurenta na rynku międzynarodowym stawało się sprawą pierwszorzędnej wagi dla hollywoodskich producentów. Szafowali więc hojnie pożyczkami, wykupywali pakiety akcji wielkich firm włoskich. Specyficzna struktura filmu włoskiego ułatwiła im również wpływ na politykę upowszechniania. Kraj został zalany amerykańskimi filmami. Ilość filmów sprowadzanych do Włoch w porównaniu z rokiem 1948 wzrosła obecnie o 30 proc. Na ekrany o rocznej przelotowości trzystu tytułów wtłacza się ponad 400 tytułów tylko amerykańskich. Producenci stwarzają dla dystrybutorów korzystne warunki najmu filmów: cena amerykańskiego filmu waha się około 20 mil. lirów, podczas gdy włoski kosztuje około 50 mil.

Polityka chadecji napotyka rychło na opór społeczeństwa. W marcu 1949 r. powstaje Komitet Obrony Filmu Włoskiego. Pod presją opinii publicznej rząd idzie na ustępstwa i uchwala trzy ustawy, które miałyby zapewnić opiekę narodowej kinematografii. Jedna z nich wprowadzała obowiązkowe wyświetlanie filmów włoskich przez osiemdziesiąt dni w roku, druga przyznawała pomoc finansową dla najwybitniejszych filmów w postaci zmniejszenia podatku w wysokości około 1/6 całości dochodu, trzecia ograniczała import filmów amerykańskich do około 250 rocznie i nakładała podatek w wysokości prawie 8 mil. lirów na filmy obcojęzyczne. Wprawdzie w późniejszych latach przywileje te były stopniowo uszczuplane, ale na fali zdobyczy wywalczonych przez postępową opinię społeczną powstają filmy, które już wkrótce przywróciły prymat filmowi włoskiemu. Nie bez znaczenia jest fakt, że — dla uniknięcia dyktatu producentów — kilku wybitnych reżyserów, jak De Sica czy Visconti, podjęło produkcję filmów za własne kapitały.

Wprawdzie lata 1949 — 1950 przyniosły między innymi takie pozycje, jak: „Droga nadziei" Germiego, „Nie ma pokoju pod oliwkami" De Santisa, „Uwaga bandyci" Lizzaniego, „Kronika jednej miłości" Antonioniego, ale nie miały one jeszcze tej wagi gatunkowej, co plon lat 1951—1952. Festiwale filmowe w tych latach dawały filmowcom włoskim nowe laury.

„Cud w Mediolanie" i „Umberto D" De Sici, „Najpiękniejsza" Visconiego, „Rzym godzina 11-a" De Santisa, „Nadziei za dwa grosze" Castellaniego, „Płaszcz" Lattuady, „Proces przeciwko miastu" Zampy— oto najwybitniejsze z nich.

Porównanie powyższych tytułów, które zaliczamy do II-go okresu neorealizmu, z tytułami okresu I pozwala na zaobserwowanie szeregu zmian, jakie zaszły w stylu tych dwu okresów.

Co najpierw rzuca się w oczy w tym zestawieniu, to brak drapieżności, jaki cechował filmy I-go okresu. Brak pasji z jaką twórcy w ubiegłych latach „wymierzali sprawiedliwość widzialnemu światu". Jedyny wyjątek stanowią tu filmy De Santisa — wprawdzie jeszcze w „Nie ma pokoju pod oliwkami" ostrość widzenia gubiła się w ornamentyce pobocznych wątków i ozdóbek formalnych, ale w „Rzym'e godzina 11-a", osiągnął precyzję i jasność tak doskonałą, że film ten jest nie tylko najwybitniejszym osiągnięciem II-go okresu, ale w historii filmu neorealistycznego zajmuje miejsce obok dzieł najwybitniejszych. Nie bez przyczyny amerykańscy dystrybutorzy postarali się za grube pieniądze zakupić film De Santisa i zablokować go w magazynach. Pytanie, kto jest winien tragedii, jaka wydarzyła się na rzymskich schodach, nie każe szukać odpowiedzi w pesymizmie i rezygnacji, ale posiada wyraźnego adresata.

Inni wybitni twórcy przesuwają swoje akcenty krytyczne na płaszczyznę komediową („Cud w Mediolanie", „Nadziei za dwa grosze", „Policjanci i złodzieje") czy podejmują uboczne wątki rzeczywistości („Umberto D", „Najpiękniejsza"), a także szukają analogii w przeszłości („Proces przeciwko miastu", „Płaszcz"). Twórcy tacy, jak De Sica czy Visconti, na nowoobranych pozycjach eksperymentują. Forma ich dzieł jest nienaganna, mistrzowska jak dawniej, tylko metaforykę spięć, epicką szerokość i głębię widzenia zastępuje powściągliwość i statyka narracji; analiza nie stara się dotrzeć do sedna sprawy, kładzie akcent na domyślność widza, podsuwa mu pozornie obiektywne wydarzenia. I wydarzeń tych nie brak, tylko interpretacja ich jest akademicko powściągliwa. „Umberto D" i „Najpiękniejsza" nie dorównują poprzednim osiągnięciom mistrzów. Młodzi reżyserzy, a zwłaszcza Castellani i Lattuada, wyzbyli się w filmach swych naturalizmu i formalistycznych ornamentów. Zwłaszcza Castellani w „Nadziei za dwa grosze" wypracował bardzo indywidualny styl, któremu wprawdzie brak spotykanej dotychczas ostrości spojrzenia, ale który wnosi dziełem swym ogromny ładunek optymizmu i młodzieńczej szczerości i pasji. Film ten wysuwa go na jednego z czołowych postępowych włoskich reżyserów, których liczba ostatnio zubożała.

To podniesienie głowy przez postępowy film włoski pobudziło chadecję do zaostrzenia form walki. Nacisk wielkokapitalistycznych producentów a przede wszystkim wszechwładnej cenzury, zwłaszcza w roku 1953, doszedł do rozmiarów nieodparcie nasuwających skojarzenia z sytuacją z lat faszyzmu. Każdy śmielszy film już w zarodku, w fazie scenariuszowej, skazany jest na niepowodzenie, nikt nie podejmie jego produkcji, a jeśli się nawet uda przy pomocy spółdzielni czy prywatnych kapitałów zrealizować jakąś pozycję to na długo pozostanie ona w archiwum cenzury. Nic więc dziwnego, że w filmie włoskim daje się zauważyć ponownie tendencje kryzysowe. Wydają się o tym świadczyć takie fakty, jak niepowodzenie De Sici („Krańcowa stacja"), długie milczenie Viscontiego, kameralny film De Santisa („Mąż dla Anny Zaccheo"), ostatnie filmy przedstawione na Biennale (wprawdzie pokazują realistycznie ich związek z życiem współczesnych Włoch, ale akcenty te rozmieszczone są w formach komediowych i to grawitujących często w stronę groteski). Wybitne filmy neorealistyczne są wprawdzie nieliczne w ogólnej liczbie produkcji włoskiej, która osiąga ponad sto tytułów rocznie, ale one nadają ton i rangę artystyczną całej produkcji i stąd ich ogromna waga, ich pozycja w historii filmu.

Neorealizm włoski zrodził się w atmosferze wolności i tylko ona zdolna jest mu zapewnić dalsze istnienie i rozwój. Wolność kurczy się coraz bardziej i ci twórcy, którzy niedwuznacznie zdeklarowali się po stronie postępu, szukają pozycji, z jakich mogliby jeszcze przemawiać. Stąd te ewolucje, poszukiwania, eksperymenty,

Scena z filmu „Nie ma pokoju pod oliwkami".

Scena z filmu „Najpiękniejsza"

List do Redakcji

W SPRAWIE ŚWIĘTOLIPKI

W artykule „Pamiątki polskie na Warmii" (Nr 7/54) p. Maria Zientara Malewska pisze: „Po Fromborku drugim muzeum pomników polskości jest Świętolipka. Znajduje się tam najpiękniejszy kościół na Warmii w stylu barokowym. Kościołek ten został pobudowany dzięki staraniom STEFANA ZADORSKIEGO, sekretarza króla polskiego, z pieniędzy częściowo zebranych na dworze króla w Warszawie. Budowniczym kościoła był Ertil z Wilna. Kościół posiada tyle wspaniałych pamiątek kultury polskiej, że zasługuje na osobne omówienie".

Ponieważ, z jednej strony, posiadam wydawnictwo niemieckie „Der Wallfahrtsort HEILIGELINDE in der Diozese Ermland", wyd. w Bransbergu na 82 str., gdzie całość przeszłości Św. Lipki jest podana z szeregiem nazwisk polskich, z drugiej zaś strony, Św. Lipkę odbudował nie ZADORSKI, lecz STEFAN SZADURSKI, którego portret znajduje się w sali u OO. Jezuitów, uważam za konieczne te dane przedłożyć. Na portrecie, którego fotografię posiadam, znajduje się następujący napis „STEPHANUS SADORSKY REGNI POLONIAE SECRETARIUS EXIMIUS BENAFACTOR HUIUS LOCI". — A więc nie „ZADORSKI", lecz „SADORSKY", w tłumaczeniu po łacinie Szadurski. We Fromborku znajduje się w kaplicy tzw. polskiej jego epitafium (r. 1641).

Na koniec, należy zaznaczyć, że nie można nazwać kościoła Św. Lipki „kościołkiem", jest to bowiem duża świątynia, zaś jeszcze przed wojną, co osobiście stwierdziłem, nie tylko wszelkie ogłoszenia kościelne podawane były po niemiecku i po polsku, lecz jeden z kapłanów musiał być Polakiem, podobno zgodnie z odpowiednim zobowiązaniem odnośnych władz.

Wacław Szadurski

KSIĄŻKI: recenzje omówienia

BOHDAN SUCHODOLSKI — NAUKA POLSKA W OKRESIE OŚWIECENIA P. W. N. 1953, s. 742.

KSIĄŻKA Suchodolskiego jest próbą przedstawienia polskiemu czytelnikowi warunków i faz rozwojowych nauki polskiej w drugiej połowie wieku XVIII na tle panującej sytuacji społeczno- gospodarczej.

Autor dzieli książkę na dwie odrębne całości, przy czym dział pierwszy zawarty w stu sześćdziesięciu stronach potraktowany został jako „rozprawa wstępna" i dzieli się z kolei na cztery części.

Część pierwsza omawia stan piśmiennictwa polskiego za czasów saskich oraz przedstawia pierwsze próby dokonania reform w nauczaniu w oparciu o rozwój nauk przyrodniczych. W części drugiej najwięcej miejsca poświęcono roli Komisji Edukacji Narodowej i związanej z tym reformy szkół wyższych. W części trzeciej przeprowadzona została analiza kształtowania się narodu burżuazyjnego w związku z postępem techniki i dalszym rozwojem nauk przyrodniczych; zamyka ją omówienie zwycięstwa Targowicy, co w skutkach polityczno-społecznych było równoznaczne ze zwycięstwem reakcji umysłowej i obskurantyzmu, a więc — stosunków feudalnych. Część czwarta zawiera podsumowanie osiągnięć nauki polskiej oraz perspektywy rozwoju na przyszłość w zakresie wiedzy o wieku XVIII.

Jednakże integralną częścią książki, która — według założeń autora — ma stanowić dopełnienie rozprawy wstępnej, są „materiały źródłowe", będące w rzeczywistości aneksem do tej przeszło siedemset stron liczącej książki. Zaletą książki jest — przede wszystkim — pełne przedstawienie obrazu rozwoju nauki polskiej doby Oświecenia, z uwzględnieniem jej zasadniczych właściwości i przemian w porównaniu z upadkiem życia umysłowego i nauki za panowania Sasów w Polsce.

Poprzez pryzmat sylwetek i działalności większej lub mniejszej miary uczonych polskich aktywnie oddziaływujących swoją postawą na otoczenie, wskazuje autor na wiek Oświecenia jako okres, w którym rozwój nauki polskiej stał się wyjściem z feudalnego impasu, wyjściem z feudalnego marazmu i rozkładu, który objawiał się we wzroście magnackiej oligarchii, ciemnocie mas polskiej szlachty, rosnącym wyzysku pańszczyźnianym, ruinie gospodarczej miast i upadku patriotyzmu.

Dzięki tym nielicznym, ale światłym obywatelom, nauka polska wprzęga się w służbę narodu i odnajduje swą właściwą drogę wiodącą do naukowego pojmowania zagadnień i poznania rzeczywistości.

Wydaje się słuszne wskazanie przez autora na napotykane trudności, które były wynikiem stanowiska reakcji polskiej stojącej na gruncie obrony werbalizmu i ocalenia fideizmu, jako środków mających na celu utrzymanie i utrwalenie zmurszałego porządku społecznego.

Garstka uczonych i wysoko postawionych działaczy państwowych i społecznych będąca reprezentacją narodu polskiego, rozumiejąca konieczność postępu społeczno-ekonomicznego, formowała swoje zasady humanizmu, które rozumiała jako niezaprzeczone prawo do ujarzmienia sił przyrody dla dobra ludzi.

Charakteryzując stanowisko uczonych polskich wieku Oświecenia, wskazuje autor na ich realistyczny pogląd i krytyczne ujmowanie ówczesnej rzeczywistości, czym kładli oni podwaliny pod postępową koncepcję budowy świata, ukazując przy tym ścisłe powiązanie nauki z życiem.

Uwypuklenie cech charakterystycznych układu społecznego wieku Oświecenia z uwzględnieniem uwarunkowania osiągnięć nauki polskiej stanowiskiem klasowym rzuca światło na sytuację nowego rodzącego się układu kapitalistycznego w Polsce. Odbywało się to nie w drodze rewolucyjnego stanowiska klasy mieszczańskiej, stwarzającego możliwości wyzwolenia społecznego innych warstw uciskanych, ale — stanowiska ewolucyjnego, zaszczepionego na rozkładającym się ciele feudalizmu, a niejednokrotnie nawet w mocnym z nim powiązaniu.

Żałować należy, że zamiast rozszerzenia „rozprawy wstępnej" i utrzymania własnego stylu naświetlania zagadnień, autor pokusił się o umieszczenie w trzech czwartych zawartości książki aneksu, któremu nadaje tytuł „materiały źródłowe"; są to przedrukowane wyjątki z książek, listów, projektów, artykułów autorów, którzy reprezentują postępowy kierunek naukowy epoki Oświecenia.

Materiały źródłowe — to bez wątpienia cenny zbiór dla ludzi opracowujących monografie, natomiast dla przeciętnego czytelnika stanowią one — mimo zmodernizowania pisowni i sub linea objaśnień językowych — materiał niejasny i niepełny, co zresztą sam autor w swych objaśnieniach przyznaje, że „wybrane teksty nie pozwalają na pełne poznanie ich myśli".

Samo wstawienie przez Suchodolskiego objaśnień, wydaje się wskazywać na zbieżność wątpliwości autora i czytelników, co do słuszności umieszczania aneksu i właśnie takiego „montażu" książki.

W sumie jednak — książka Suchodolskiego (wydana w estetycznej, odpowiadającej tematowi formie, z licznymi rycinami i ozdobnymi winietami) stanowi dla czytelnika polskiego pozycję niezbędną, tym bardziej, że jest to dziedzina, która ma się stać — jak zapowiedziano na specjalnie Odrodzeniu w Polsce poświęconym kongresie PAN — przedmiotem dalszych badań szczegółowych.

Wolno twierdzić, że zamierzenia autora przedstawienia społecznej historii nauki, ukazanie jak się ona rodziła w związku z walką o postęp i jaką w tej walce pełniła rolę, zostały w znacznym stopniu osiągnięte.

H. R. G.

ANDRZEJ KOSKOWSKI

POMÓWMY O SŁUCHOWISKACH

SKORO już mówimy o słuchowiskach, poświęćmy nieco czasu stałej audycji przeznaczonej dla młodzieży. Mam na myśli „5 : 0 dla młodości". Jak dużą wagę przywiązuje do niej Polskie Radio, świadczyć może fakt, że audycja ta jest nadawana regularnie co niedzielę o tej samej porze, w tym samym programie i powtarzana następnie w innym. Myśl zupełnie słuszna: audycje dla młodzieży o charakterze wychowawczym, ujęte w interesującą, atrakcyjną formę winny stanowić ważną pozycję w programie. „5 : 0 dla młodości" ma właśnie takie zadanie: bawić i wychowywać jednocześnie.

Oczywiście treść wychowawczą mógłby przekazać zwykły odczyt lub pogadanka. Zachodzi jednak obawa, czy młodzież zechce słuchać cierpliwie nudnych wykładów? Prawdopodobnie nie, dlatego też tworzy się formę słuchowisk rozrywkowych o poważnym ładunku wychowawczym.

Jak ta forma wygląda? Trzeba przyznać, że dość różnie, w każdym bądź razie, jeżeli chodzi o poziom wykonawczy, nie da się porównać z Teatrem Polskiego Radia. Aby nie być gołosłownym, przejdźmy do konkretów. Np. interpretacja tekstów.

„5 : 0 dla młodości" miewa charakter satyryczny lub poważny. Otóż z zasady w obu wypadkach wykonanie jest wadliwe. Stałym słuchaczom audycji satyrycznych głosy wykonawców przypominają do złudzenia rżenie koni („po co oni się tak śmieją? Czy to w ogóle jest śmiech? To przecież..." — patrz wyżej). Oczywiście — fe — jak można formułować krytykę w ten sposób, ale... Przy szczególnych właściwościach głosowych sformułowanie to, chociaż bardzo nieeleganckie, ma jednak pewne podstawy.

Spróbujmy dojść, czemu się tak dzieje? Ktoś obliczył, że w ciągu ubiegłego roku napisano i ogłoszono ponad dwieście utworów satyrycznych na temat „precz z ponuractwem" (ładne słowo, powinno się przyjąć w naszej prasie codziennej) — trzeba więc hasło wprowadzić w czyn — i oto gotowa geneza dialogów w rodzaju:

— Ha ha ha ha, która, ha ha ha... godzina?

— A ha ha ha ha! Piąta... ha ha ha... piąta!

Nie wiadomo, czy powyższy wniosek jest słuszny, być może, że nadmiar „werwy" ma jakieś inne przyczyny, ale jeżeli tak, to równie bezpodstawne... Jednym słowem — śmiech jest dobry, ale w porę, natomiast o śmiechu nie w porę mówi coś pewne stare przysłowie, którego już cytować nie będziemy...

Tyle o wykonawstwie. Co zaś do tekstów satyrycznych, to niechaj bawią nie tylko wykonawców, ale i słuchaczy.

Jak wspomnieliśmy już, słuchowiska „5 : 0 dla młodości" mają nie tylko charakter satyryczno-rozrywkowy, ale i poważny. Ten drugi rodzaj audycji ma — niestety — podobne wady: zbyt często przejawiająca się nienaturalność, sztuczność dialogów, a nawet i sytuacji (tzw. naciąganie, w danym wypadku blisko spokrewnione z szeroko stosowaną w tej audycji „łopatologią"). To zbyt częste „ach" i „och" wtrącane nie wiadomo po co, te nienaturalne sformułowania w dialogach, których nawet najlepsze wykonanie nie byłoby w stanie polepszyć — przypomina jakieś scenki myszką trącące. Oczywiście — porównanie z dawną literaturą dotyczy tylko czysto technicznej strony, bowiem treść audycji pod mało wartościową z punktu widzenia artystycznego formą zawiera wiele akcentów ideologicznych, wychowawczych. Nie należy jednak ważnej treści ubierać w złą formę — i nie należy przyzwyczajać młodzieży do utworów, których literackie wartości są bardzo problematyczne. Tekst słuchowiska — to praca literacka — i należy nań spoglądać także i pod tym kątem, zaś tekst słuchowiska dla młodzieży powinien zawierać wartości wychowawcze nie tylko pod względem ideologicznym, ale i artystycznym.

Redaguje zespół.
Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel 8-66-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W-wa, Marszałkowska 3/5. Zam. 439 5-B-150022

WYSTAWA ŚREDNIOWIECZNEJ SZTUKI RELIGIJNEJ W PIZIE

W Pizie otwarto wystawę zabytków najdawniejszej rzeźby średniowiecznej, głównie sławnej szkoły rzeźbiarskiej Nicolo de Pisano. Największe zainteresowanie wzbudził posąg Madonny z katedry pizańskiej, dłuta Giovanni de Pisano. Posąg ten jest uważany za jedno z arcydzieł średniowiecznej sztuki rzeźbiarskiej we Włoszech. Ostatnio wywiązała się dyskusja, w jakiej mierze Madonna jest autentycznym dziełem Giovanni de Pisano, wykryto bowiem w wykończeniu główki Dziecka i rączki unoszącej glob ziemski ślady obcego dłuta.

List z niedaleka

Spotkanie z Odyseuszem

NAWET nie przypuszczasz, a może i nie uwierzysz, ile Tobie zawdzięczam radości. Wróciłem do domu późno, bardzo zmęczony, cały jeszcze zaaferowany myślami o powszednich kłopotach.

Na stole czekała paczka od Ciebie. Powoli odwinąłem papier. Wziąłem w ręce niewielką książkę, przerzuciłem kartki skromnego a tak ładnie wydanego tomu, przebiegłem po nich spojrzeniem, zacząłem czytać jakiś fragment, zatrzymałem się dłużej przy innym, potem wróciłem do początku.

Zaczęły mijać godziny. Zwolna ucichł gwar dochodzący z ulicy — a ja czytałem, nie odrywałem oczu od tekstu, który zdawał się śpiewać i nawoływać głosem znajomym, jak bicie serca — głosem młodości. Z odległego kraju pamięci nadpływał brzeg jakiejś rzeki, cień starych wierzb, w trawie rozłożone na którejś stronie podarte wypisy szkolne, a w nich wiersz, w którym mowa o spotkaniu Odyseusza z Nauzykają. Później została tylko sama baśń, urocza i zatrważająca jak starodawny haft rozsnuty na błękitnej tkaninie odwiecznego morza — morza, które wykołysało naszą kulturę.

Znowu stanęli przy mnie bohaterowie tamtej przygody, zalśniły arcyboskie oczy przemądrej bogini, padł cień wyniosłego jak góra kiklopa Polifema, wzbił się nad wody rozdzierający śpiew syren, i łuk Odysa, męża pełnego wykrętów, znowu zawarczał.

Ludzie i bogowie odwrócili ku mnie twarze znaczone uśmiechem i zadumą — jeszcze raz powtórzyły się dzieje odwiecznej przygody, takiej dawnej a młodej jak wiosna grecka.

Bo pomyśl, proszę, czyż to nie zawrotne? Ta stara pieśń, którą o poranku naszej cywilizacji zanucił niewidomy śpiewak, wędruje ku nam od tysiącleci. Znali ją na pamięć wszyscy, którym nie była obca mowa helleńska, stanowiła podstawę wykształcenia oświeconych warstw antycznego Rzymu; nie obca średniowieczu powróciła do chwały w okresie Renesansu. Przerabiana i tłumaczona wielokrotnie, w późniejszych wiekach znalazła gorliwych entuzjastów wśród romantyków.

Spójrz tylko uważnie na historię naszej literatury, wszędzie znajdziesz ślady i dowody wpływu greckiego epika. Przecież „Odprawa posłów greckich" rodzi się właśnie z Iliady, a Potocki pisząc swą „Wojnę chocimską" obficie korzysta z Homera. A Mickiewicz? Czy „Pan Tadeusz", „Grażyna", „Konrad Wallenrod" nie powstawały pod tchnieniem wielkich epopei homeryckich? Więc czy nie intryguje Cię sekret tej niepokonanej przez czas atrakcyjności Odysei — jak to się dzieje, że dla nas odległych o tysiąclecia od jej źródeł, jest taka bliska?

Widzisz — przypuszczam, że Odyseja przypomina zwierciadło, w którym odbija się nasze własne życie.

Przypominamy w niejednym przebiegłego podróżnika — jak on dążymy do odległych celów — często z uporem, zawsze wśród wysiłków, zawodów i postanowień. Czy nie kuszą nas po drodze uwodzicielskie głosy syren — a czarodziejki podobne do wróżki Kirke czyż nie stają na naszych szlakach, aby przeszkadzać nam i opóźniać realizację zamiarów proponując gnuśność i sen?

Jest jeszcze jeden urok Odysei. Przecież ta odwieczna powieść jest równocześnie najpiękniejszą księgą przygód, jaką wydała ludzkość. Porywająca dla młodych, a pełna mądrości dla dorosłych, ruchliwa, zmienna i burzna jak samo życie.

Mam prośbę do Ciebie. — Jeśli spotkasz pana Jana Parandowskiego — podziękuj mu, proszę serdecznie, za wspaniały przekład Odysei. Polszczyzna, w którą nam przelał Homera, jest po królewsku uroczysta, a pełna chłopskiej prostoty, rytmiczna i dźwięczna jak przystało na poezję, a zarazem potoczysta, jasna i bogata, jaką powinna być zawsze wzorowa proza; nosi wszystkie znamiona kunsztu literackiego naszego pisarza, a równocześnie tak bliska jest oryginału, jak w żadnym z dawniejszych przekładów. Podziękuj szczególnie znakomitemu tłumaczowi za kapitalny pomysł zerwania z tradycją wiersza stroficznego. Napisana w takiej formie, w jakiej wydaje się książki współczesne, nie odstręcza czytelnika tak trudną dla wielu formą wiersza — przeciwnie intryguje jako eksperyment, a nowemu czytelnikowi ułatwia kontakt z tą wielką poezją.

Wiesz, teraz przypominam sobie, że spotkałem się już z tą książką w okolicznościach codziennych a jednak niezwykłych. W przedziale kolejki elektrycznej zdążającej do Brwinowa, w tłoku, w mroźnym powietrzu szklącym się od szronu oddechów, dostrzegłem dziewczynę. Była bardzo młoda. Wyglądała na studentkę jakiegoś liceum. Z beretem przekrzywionym na czole, z puklem włosów spadającym na brew, siedziała nie pamiętając o całym świecie, zatopiona w książce, którą trzymała w zaczerwienionych rękach. Czytała. — Właśnie Odyseję. I tak jadąc codzienną kolejką do podwarszawskiego osiedla przemykała się równocześnie między otchłaniami Scylli i Charybdy — pochylała nad błękitną wodą zatoki, może po to, aby w niej pochwycić odbicie twarzy bogini o mądrych źrenicach — spoglądała ku dalekim wyspom zamieszkałym przez łagodne bóstwa i wesołych pasterzy.

Czy potrafisz ogarnąć wielkość tego zdarzenia — czy my wszyscy oceniamy należycie, jaką wymowę ma prosty z pozoru fakt, że pieśń starożytnego poety umiała przekroczyć bramy seminariów, że wyszła z półek bibliotecznych, że dostała się do szorstkich rąk ludzi zwykłego dnia, nieprzeliczonych mas ludzkich, stając się ich codziennym świętem?

Jeśli chcesz, możesz to nazwać rewolucją. — A ja powiem: wielkie zwycięstwo czasów, które rozdają poezję każdemu, tak potrzebną i tak dobrą jak chleb.

Twój Eryk

KILKA SŁÓW

o muzyce

KONCERT MUZYKI RELIGIJNEJ

W Kościele Pokarmelickim tzw. prokatedralnym, na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, odbył się koncert miejscowego chóru kościelnego „Gloria" przy współudziale solistów opery warszawskiej — Z. Fedyczkowskiej, A. Gołębiowskiego, E. Białeckiej, J. Wątkowskiej oraz kwartetu żeńskiego. Chórem „Gloria" dyrygował prof. Andrzej Mikina, założyciel i długoletni kierownik zespołu. Ten chór kościelny, znany na terenie Warszawy, obchodzi w tym roku 40-lecie swego istnienia. W roku 1914 w momencie założenia go przez A. Mikinę — wówczas młodego absolwenta konserwatorium — w skład jego wchodziło 20 osób rekrutujących się spośród studentów, robotników, rzemieślników i inteligencji pracującej. Chór rozwija się nadal pomyślnie, biorąc żywy udział we wszystkich uroczystościach kościelnych.

TRZY PRAWYKONANIA

Aż trzy prawykonania nowych utworów kompozytorów polskich miały miejsce w ciągu stycznia i lutego br. Państwowa Filharmonia w Krakowie wykonała w styczniu IV Symfonię Bacewiczówny, jak również Kantatę o pokoju Dobrowolskiego. Zespół Filharmonii Łódzkiej wykonał 12 lutego Symfonię Paciorkiewicza.

POLSKO-NIEMIECKA WYMIANA KULTURALNA

Do Berlina udała się grupa wybitnych polskich artystów operowych w składzie: Maria Foltyn, Wacław Domieniecki i Andrzej Hiolski. Artyści polscy wystąpią w Berlinie w operze „Halka" oraz dadzą szereg recitali.

W Polsce natomiast bawi Käthe Rülicke, wybitny teatrolog, reżyserka teatru Berliner Ensemble. Celem jej podróży jest zapoznanie się z życiem teatralnym naszego kraju.

„GRAJĄCY WAGON"

„Grający wagon" to ostania innowacja wprowadzona na terenie warszawskiej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowej. Jest to wagon-świetlica zaopatrzony w bogaty zapas płyt patefonowych, radiolę i aparaturę filmową. Znajduje się w nim pomieszczenie dla załogi oraz sala kinowa. Docierając do zapadłych miasteczek i małych stacyjek, wagon zatrzymuje się na 3 dni na bocznicy w każdej miejscowości. O przybyciu wagonu oznajmia muzyka i wesołe piosenki. Po zgromadzeniu większej liczby słuchaczy wyświetla się dla nich film. Zarząd Główny Związku Pracowników Kolejowych PRL planuje w dalszej fazie działalności wagonu-świetlicy odczyty, pogadanki aktualne, kolportaż książek i czasopism itd. W najbliższym czasie rusza w teren 7 wagonów-świetlic w DOKP Lublin, Kraków, Stalinogród, Poznań, Wrocław i Olsztyn.

o filmie

DWA FILMY RELIGIJNE WE FRANCJI

W okresie nadchodzącego postu katolicy francuscy będą mieli możność oglądania dwóch filmów religijnych. Pierwszym z nich jest kolorowy film „Mojżesz", który w oparciu o teksty Biblii przedstawia dzieje tego wielkiego proroka. Drugi film „Wielkanoc" ma na celu głębsze zrozumienie duchowego sensu tych świąt i liturgii Kościoła. Obraz ten, zrealizowany przez jednego ze znakomitych reżyserów francuskich, Filipa Agostini, otrzymał wyróżnienie na Międzynarodowym Festiwalu w Wenecji.

OPERA RACHMANINOWA W FILMIE TRÓJWYMIAROWYM

Jako piąta (po „Robinsonie Kruzoe", „Pociągu pancernym", „Nocy majowej") próba stereofilmu radzieckiego weszła na ekran opera cygańska w 1 akcie Rachmaninowa, „Aleko". Odrębnością inscenizacji podjętej przez 4-osobowy zespół reżyserski z Abramową jest m. in. to, że opera kończy się nie akordem śmierci, lecz obrazem wyjeżdżającego w świat taboru cygańskiego. Rolę tytułową zagrał ze spokojną siłą i wewnętrznym dramatyzmem A. Ogniwcew, M. Rejzen oddał wyrazicie i szlachetnie partię Starego Cygana, świeżo i z temperamentem grała i śpiewała partię Zemfiry J. Zubkowska. Film oznacza dalszy postęp techniki kolorowego filmu trójwymiarowego z tzw. rastrem radialnym w przeciwieństwie do nadal doskonalonego na Zachodzie systemu „Cinemascope". Poza Moskwą buduje się już dalsze sale stereokinowe w Leningradzie i Kijowie.

PRZYZNANIE DYPLOMÓW HONOROWYCH FILMOM RADZIECKIM NA MIĘDZYNARODOWYM FESTIWALU FILMOWYM W 1953 R. W EDYNBURGU

Jak podaje agencja prasowa TASS przyznano dyplomy honorowe radzieckim filmom: „Czarodziej Glinka" i „Wśród lodów oceanu" wyświetlanym na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Edynburgu.

Dyplomy honorowe przyznano 28 na 192 filmy wyświetlane na Festiwalu.

W OCZACH ANGLIKÓW

Stałym zwyczajem angielski kwartalnik filmowy „Sight and Sound" opublikował w najnowszym numerze tegorocznym listę najlepszych filmów roku. Zdaniem redakcji osiągnięciem bezspornym jest film Bressona „Pamiętnik wiejskiego proboszcza": uzasadniając decyzję redakcja lapidarnie określiła go jako „surowy, bezkompromisowy, mistrzowski". Wśród tytułów pretendujących do dalszych miejsc pismo wymienia takie filmy, jak „Nadziei za 2 grosze" (R. Castellaniego), „Zakazane zabawy" (R. Clementa), „Nocne piękności" (R. Claira), „Złota karoca" (J. Renoira). Na dalszych pozycjach uplasowały się filmy takie, jak „Najpiękniejsza" (L. Viscontiego), angielski „Ring" i amerykański „Wróć się mała Shebo". Wśród filmów dokumentalnych na czołowych miejscach znajdują się: angielski „Zdobycie Mt. Everestu", francuski „Siwek" (jeszcze w I półroczu br. ujrzymy go na naszych ekranach), węgierski „Wodne królestwo". Aktorskie wyróżnienia otrzymali m. in. Anna Magnani za rolę w filmie „Złota karoca" i Trevor Howard za rolę Scobiego w filmie „Sedno sprawy" (wg. Greena).

o plastyce

ARCHITEKCI DYSKUTUJĄ NAD PROJEKTEM ZABUDOWY ŚRÓDMIEŚCIA WARSZAWY

W dniu 16 bm. w Teatrze Narodowym w Warszawie odbyła się zorganizowana przez Stowarzyszenie Architektów Polskich dyskusja architektów nad projektami zabudowy centrum śródmieścia Warszawy i centralnego placu stolicy — pl. Stalina.

Na dyskusję między innymi przybyli: min. Budownictwa Miast i Osiedli — R. Piotrowski, wicemin. Kultury i Sztuki — J. Wilczek, prezes Komitetu do Spraw Urbanistyki i Architektury — Z. Skibniewski oraz Naczelny Architekt Warszawy — J. Sigalin.

RENATO GUTTUSO W POLSCE

Według informacji Centralnego Biura Wystaw Artystycznych wystawa prac malarskich i graficznych Renato Guttuso zostanie przewieziona z Pragi do Warszawy. Renato Guttuso, jeden z najwybitniejszych plastyków włoskich, zyskał dużą popularność w Polsce m. in. dzięki ilustracjom do książki J. Stryjkowskiego „Bieg do Fragala". Został on odznaczony w roku ubiegłym polską Nagrodą Państwową.

LICYTACJA W PAŁACU FARUKA

W Koubbekh, byłej rezydencji ex-króla Faruka otwarto licytację zbiorów królewskich, która ściągnęła kupców i kolekcjonerów całego świata. Tłumnie przybyli również amerykańscy milionerzy i ich wysłannicy, aby wyłowić co cenniejsze okazy. Zbiory dzielą się na wspaniałą numizmatykę, przedmioty i ozdoby ze złota i szlachetnych kamieni oraz dzieła sztuki. Sama kolekcja starych monet, podobno największa na świecie, oceniana jest przez ekspertów włoskich na 200 milionów lirów. Wielka kolekcja zegarów — dzieł sztuki z różnych epok, cenne szpady, wśród nich jedna wysadzana brylantami, przybory toaletowe gen. Klebera wzbudzają powszechne zainteresowanie.

WSPÓŁPRACA PLASTYKÓW NIEMIECKICH

„Czy artyści łatwiej dojdą do porozumienia niż politycy?" — takie zagadnienie można rozwiązać obserwując wysiłki artystów-plastyków z NRD szukających konsekwentnie porozumienia z plastykami Niemiec zachodnich. Już w pierwszych latach powojennych okazało się, że artyści potrafią znaleźć wspólny język, wyrazem tego były ogólnoniemieckie wystawy w Berlinie i Dreznie. W r. 1948 powstał nawet związek niemieckich plastyków „Neue Gruppe" na czele którego stanęli znani plastycy: Hafer, Schmidt, Fritsch, Seitz i inni. Niestety, Związek ten upadł z powodu szykan władz zachodnich.

Obecnie, po orędziu wicepremiera Rządu NRD Ulbrichta — powstaje nowa sposobność do nawiązania zerwanej więzi. Nowym, decydującym krokiem na tej drodze, ma być wielka, ogólnoniemiecka wystawa artystów plastyków w Düsseldorfie. Dowiedzie ona w jakim stopniu można liczyć na trwałe porozumienie artystów z obu stron.

WYSTAWA RYSUNKÓW I AKWAREL GROMAIRE'A

W ostatnim czasie uwagę miłośników sztuki w Paryżu przyciąga otwarta w Galerie Carré wystawa rysunków i akwarel Gromaire'a. Ten znany malarz, którego dzieła mieliśmy również możność oglądać na wystawie artystycznej tkaniny francuskiej, urodził się w 1892 r.; od Braque'a i Picasso jest więc o jakieś dziesięć lat młodszy. W malarstwie francuskim Gromaire zajmuje stanowisko specjalne, trudno zaliczyć go do jakiegoś określonego kierunku. Miano ekspresjonisty, jakie przylgnęło do niego od początków twórczości, nosi wszelkie cechy upraszczających, szkolnych podziałów. Nic w obecnej twórczości Gromaire'a nie usprawiedliwia tej klasyfikacji, malarstwo jego bowiem cechuje umiłowanie rzeczywistości i konkretu. Ten ogromnie płodny artysta jest niezwykle surowy w stosunku do swoich dzieł, spośród setek obrazów i rysunków pokazuje publiczności jedynie najlepsze, najbardziej dojrzałe; rzadkie są więc jego wystawy, ale budzą tym większą uwagę.

SPRZEDAŻ ZBIORÓW BONNARDA

22 lutego w Paryżu wystawiono na sprzedaż kolekcję obrazów współczesnych, będących własnością Pierre Bonnarda. Kolekcja obejmuje płótna Cezanne'a, Matisse'a, Redona, Vuillarda i innych. Z okazji sprzedaży zbiorów Bonnarda do Paryża zjechali się eksperci muzeów i miłośnicy współczesnego malarstwa francuskiego.

WYSTAWA PLASTYKI W BUDAPESZCIE

Niedawno w Budapeszcie odbyła się doroczna wystawa współczesnej plastyki. Wystawa obejmowała ok. 700 eksponatów: obrazy olejne, grafikę, rzeźbę.

Uroczystego otwarcia wystawy dokonał minister kultury Węgierskiej Republiki Demokratycznej — Darwasz.

o teatrze

ADAPTACJE SCENICZNE POWIEŚCI

pojawiają się coraz częściej w naszych teatrach: Adaptuje się nie tylko pozycje klasyki powieściowej: „Eugenia Grandet", „Meir Ezofowicz" (adaptacja Idy Kamińskiej w Teatrze Żydowskim), „Lalka", „Emancypantki", które jako „Pensję pani Latter" przygotowuje Teatr Współczesny w opracowaniu Iwaszkiewicza. Dramatyzuje się również powieści współczesne, jak np. niedawno we Wrocławiu „Bieg do Fragala" Stryjkowskiego. Szczególne szczęście do przenoszenia na scenę mają powieści młodzieżowe. „Młoda Gwardia" Fadiejewa, nowy sukces Teatru w Opolu, znalazła się już wielokrotnie na polskich scenach dramatycznych, ostatnio zaś na gdańskiej scenie operowej. „Poemat pedagogiczny" Makarenki doczekał się dwóch dramatyzacji i niemniejszego powodzenia. Ostatnią adaptacją powieści młodzieżowej była „Jak hartowała się stal" M. Ostrowskiego, którą wystawił z odmłodzonym zespołem Teatr w Stalinogrodzie w adaptacji M. Stehlika. Strona dramaturgiczna ogółu tych dramatyzacji zasługuje niewątpliwie na staranną krytyczną ocenę.

LENIN I TEATR

Z wydanych właśnie przez „Książkę i Wiedzę" wspomnień Nadzieżdy Krupskiej „O Leninie" dowiadujemy się również interesujących rzeczy o stosunku wielkiego rewolucjonisty do sztuki w ogóle i teatru w szczególności. Lenin wymagał wiele od teatralnego spektaklu. „Błahość sztuki lub fałszywa interpretacja irytowały Włodzimierza Iljicza", często wychodził z teatru po pierwszym akcie. Na „Świerszczu za kominem" znudził go mieszczański sentymentalizm Dickensa. Nie lubił też zbędnej teatralności, cenił najwięcej prawdę życia. Dlatego też zachwycał się „Żywym trupem" Tołstoja, „Wujaszkiem Wanią" Czechowa. Cenił ogromnie Gorkiego, lecz tym więcej wymagał od wykonawców jego utworów. W moskiewskim Teatrze Artystycznym (MCHAT) bywał częściej niż w innych i w nim czuł się najlepiej.

TEATR STRATFORDZKI Z „ANTONIUSZEM I KLEOPATRĄ" W PARYŻU

Zespół głośnego Memorial Theatre z Stratfordu, miejsca urodzenia Szekspira, dał w Comedie Francaise gościnny występ z „Antoniuszem i Kleopatrą". W przeciwieństwie do odpowiedniej inscenizacji zespołu Old Vic przedstawienie stratfordzkie cechowała dążność do odrzucenia wszelkiej stylizacji, całego balastu narosłego przez interpretacyjną tradycję wieków. Na tle prostej i pięknej oprawy gra odznaczała się siłą i znacznym realizmem, dając typowo elżbietańskie połączenie barbarzyństwa z wyrafinowaniem. Peggy Ashcroft jako Kleopatra stworzyła bogatą w odcienie głosu i ruchu kreację koronowanej uwodzicielki. Michael Redgrave, niedawny znakomity Król Lir w Londynie, ukazał jako Antoniusz atletycznego sangwinika pokonanego przez zmysły.

„WYMIANA TEATRALNA PARYŻ — MOSKWA"

W maju balet moskiewskiego Teatru Wielkiego ma wystąpić w Operze Paryskiej, podczas gdy zespół Comedie-Francaise da szereg przedstawień w Moskwie. Artyści paryscy wystawią „Świętoszka" i „Mieszczanina szlachcicem" Moliera, dzieła dobrze znane i często grane w ZSRR, oraz tragedię Racine a „Andromacha".

POSTĘPOWY RUCH TEATRALNY W ARGENTYNIE

przejawia się w tzw. teatrach „niezależnych", odcinających się wyraźnie od teatru komercyjnego i wyrażających — przy współudziale młodzieży studenckiej — idee walki z faszyzmem i eksploatacją człowieka oraz walki przeciw wojnie. Prócz nowych sztuk pisarzy rodzimych związanych z tym ruchem (m. in. „Emigranci" E. Castro) teatry „niezależne" wystawiają dzieła Czechowa, Gorkiego, Shawa, Rollanda, Brechta, Tollera, Katajewa.

„ZBRODNIA I KARA" NA SCENIE LONDYŃSKIEJ

Głośne dzieło Dostojewskiego w adaptacji Gastona Baty nadała już telewizja angielska w reżyserii Johna Fernalda, który wrócił niedawno z wizyty w Związku Radzieckim. Od pewnego czasu „Zbrodnia i kara" grana jest również na deskach scenicznych teatru „Aris". Recenzent „Catholic Herald", W. J. Igoe, wyraża pogląd, że mimo świetnych kreacji Kennetha Hyde'a (Marmeladow) i Harolda Kasketta (Porfiriusz) dzieło wiele traci na wielkiej scenie; intymność ekraniku telewizyjnego bardziej wydaje się dla nich odpowiednia.

ZESPOŁY OBJAZDOWE ŁÓDZKICH TEATRÓW LALEK

„Arlekin" i „Pinokio" dały w ubiegłym roku w 178 miejscowościach 698 przedstawień, które obejrzało 351.000 widzów. Każdy z zespołów pokazał w terenie po 7 sztuk. Występy odbywały się w szkołach po miastach i na wsi, w gospodarstwach rolnych państwowych i spółdzielczych. Zespoły objęły swymi występami teren województw łódzkiego, warszawskiego, kieleckiego, stalinogrodzkiego, zielonogórskiego, szczecińskiego, gdańskiego, bydgoskiego i olsztyńskiego.

CHAOS W KRYTYCE TEATRALNEJ AMERYKI

tak bardzo rzuca się w oczy, że krytyk czasopisma „Nation", Harold Clurman, stwierdza wprost: „Nikt nie może być pewny sądów wypowiadanych przez niektórych recenzentów, pewne jest co najwyżej, że im się przedstawienie podobało lub nie podobało. Nie precyzuje się wartości, nie określa kryteriów, nie wyjaśnia się punktu widzenia ani nie podejmuje obrony przed krzywdzącymi sądami". Krytyk katolickiego tygodnika „The Commonweal", Richard Hayes stwierdza, że „nikt wrażliwy na osobliwą hierarchię wartości, rządzącą gospodarczymi i intelektualnymi warunkami życia amerykańskiego teatru nie może zaprzeczyć prawdzie zawartej w analizie Clurmana". Hayes mówi wprost o „współczesnej wieży Babel" w amerykańskiej krytyce teatralnej.

AKTUALIA KSIĘGARNIANE

Wraca do praktyki obyczaj, że wydawnictwa rozsyłają redakcjom czasopism egzemplarze okazowe swoich nowości. Tymczasem — spośród zgromadzonych książek — warto wyodrębnić i odnotować pozycje dotyczące wiedzy o literaturze, kilka bowiem takich ukazało się ostatnio na rynku.

Ze zrozumiałą przyjemnością sygnalizujemy więc pojawienie się dużej rozprawy wydanej nakładem Towarzystwa Naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego — „O komedjach Norwida" Ireny Sławińskiej. Autorka zajmuje się w swej pracy sprawami całkiem prawie nieopracowanymi; studium poświęcone jest następującym zagadnieniom: twórcze założenia Norwida w zakresie postulowania rodzaju komedii, zasadnicza problematyka tematyczna, analiza struktury dramatycznej oraz — komedia Norwida na tle komedii pozytywistycznej.

Kto wie, czy — zanim doczekamy się monograficznych opracowań najwybitniejszych utworów naszej literatury — nie są właściwe próby „pośrednich" form publikacji naukowych, które stawiając wybrane zagadnienia zbliżają do celu jakim jest możliwie pełne poznanie tych utworów. Do takiego wniosku dojść przynajmniej można, gdy oto — jako następna z planowanych do odnotowania książek — ukazuje się Henryka Markiewicza „Przedwiośnie" Stefana Żeromskiego („Wydawnictwo Literackie"). Trudno jeszcze nazwać ten typ publikacji, bo Markiewicz jest chyba pierwszym w Polsce badaczem, który się nim posługuje. Może zatem po prostu wymienić co książka zawiera? Rozprawę wstępną autora: „Przedwiośnie" na tle twórczości Żeromskiego", obszerny wybór materiałów historycznych pomocnych przy ideowej interpretacji powieści, wybór z wcześniejszych utworów Żeromskiego, poprzez który da się prześledzić „drogę do „Przedwiośnia", bardzo ciekawy dział: „Żeromski i „Przedwiośnie" w ocenie krytyki literackiej" i wreszcie — swego rodzaju antologię „Tradycje Żeromskiego i „Przedwiośnia" w literaturze polskiej". Wszystko razem składa się na oryginalną „metrykę" utworu.

Inną znowu metodą pracy naukowej posługuje się Wacław Kubacki. Znany nie od dziś ze swych znakomitych rozpraw komparatystycznych — nikt bodaj z piszących obecnie w Polsce nie dorównuje mu pod tym względem — najnowszą swą książką autor „Arcydramatu Mickiewicza" pobił własne rekordy. Trzysta stron druku liczący tom „Żeglarz i pielgrzym" (wyd. „Czytelnik") wypełniają trzy studia Mickiewiczowskie. Pierwsze z nich — „Żeglarz" — jest najbardziej reprezentatywne. Kubacki niebywale poszerza horyzonty poznawcze drogą prześledzenia i gruntownego zbadania motywu żeglarza w literaturze światowej, polskiej i w twórczości samego poety. Na tym dopiero tle młodzieńczy wiersz Mickiewicza nabiera innego znaczenia niż sądzono od dawna. Cała zresztą książka Kubackiego przynosi niemało rewelacji. Dotyczy to i rozprawy pt. „Legenda o rzymskim pielgrzymie" poświęconej czterem wierszom o tematyce religijnej („Arcy-Mistrz", „Rozmowa wieczorna", „Mędrcy", „Rozum i wiara"); nie mniej ciekawe jest studium ostatnie: „O stylu biblijnym „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego". Warto dodać, iż „Żeglarz i pielgrzym" nie jest polonistyczną „piłą"; przeciwnie! — daje wiele satysfakcji czytelniczej. Tak bywa, skoro do pracy naukowej przystępują dobrzy krytycy literaccy, wytrawni eseiści.

Bywa, lecz — niestety — wcale nie zawsze. Kilka miesięcy temu Ryszard Matuszewski zainaugurował w „Nowej Kulturze" dyskusję o naszej literaturze tzw. dwudziestolecia. Dyskusja ta skończyła się zaledwie przed paru tygodniami. Trochę wcześniej — w wydawnictwie „Wiedza Powszechna" — wyszła książka Matuszewskiego „Literatura międzywojenna". Jest to rzeczywiście popularny zarys. Być może — przyda się on młodzieży, trochę uporządku e bardzo niedostateczną znajomość zagadnienia; to właśnie było ambicją autora. Czy jednak uporządkuje właściwie? Czy też będzie jedną więcej porcją ogólników na temat, który — jak się okazało — niezwykle wszystkich interesuje? Nie tu miejsce na recenzję. Ale trudno powstrzymać się od głosu rozczarowania: czytając publicystyczne artykuły Matuszewskiego — spodziewaliśmy się od niego książki lepszej.

Brak miejsca nie pozwala na nic więcej, jak tylko anons: Wydawnictwo Zakładu im. Ossolińskich udostępniło Bielińskiego „Wybór pism o Puszkinie" (tłum. Wacław Lipczyński, oprac. Jan Trzynadlowski).

an

RELIGIJNA RZEŹBA BRETOŃSKA

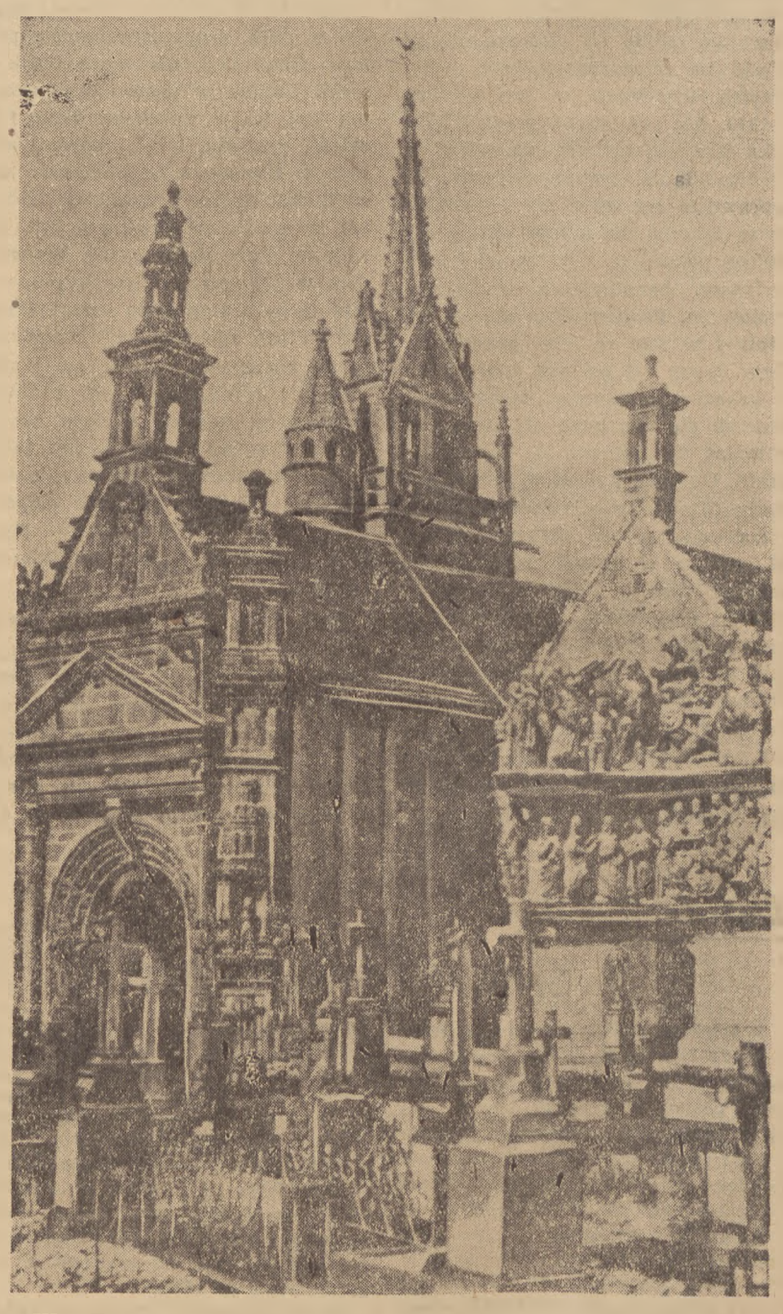

We Francji, nakładem Edition Rennes, ukazał się barazo interesujący album religijnej rzeźby bretońskiej. Uwagę zwracają niezwykle starannie dobrane reprodukcje i wnikliwie opracowane teksty. Autor ich, Wiktor Henryk Debidour, udał się do Bretanii i tam wędrując poprzez miasteczka i wsie zapoznał się dokładnie z ludową rzeźbą kraju. W sztuce tej odzwierciedla się żarliwa wiara mieszkańców Bretanii, ich głębokie przywiązanie do tradycji katolickich.

Reprodukowane zdjęcie przedstawia kościół i cmentarz w miasteczku Guimiliau w okręgu Fonistère. Zwracają uwagę niezwykle bogate rzeźby zdobiące fasadę cmentarnej kaplicy.